

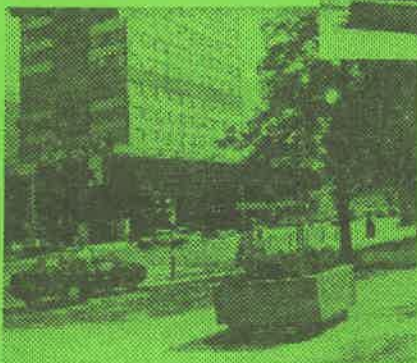
Biuletyn Krajoznawczy RPK PTTK w Łodzi



BIBLIOTEKA
Nr P287
PTTK Łódź

Rok XXXVII

I-II (337-338) 1992-1993



Z DUCHEM CZASU

fot. B. Bazylewski

Od Redakcji	2
Z prac Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK w Łodzi	3
Z archiwum Towarzystwa	7
Mirosław Jaskulski — 570 lat praw miejskich Łodzi	12
Jadwiga Boryta-Nowakowska — O niegdysiejszej Łodzi	13
Grażyna Kobojek — 130 lat gazety „Lodzer Zeitung”	16
Anna Pilarska — „Rumki” pieniądza getta łódzkiego	19
Mirosław Jaskulski — Towarzystwo Kredytowe miasta Łodzi	20
Grażyna Kobojek — Łódzkie Towarzystwo Opieki nad Dzieckiem „Kropla Mleka” w latach 1904-1939 ...	21
Mirosław Wojalski — Tramwaje elektryczne w Łodzi ruszyły przed 95 laty	25
Stanisław Bulkiewicz — Nowe dary i nabytki MHMŁ	28
Anna Dąbrowska — Człowiek a krajoznawstwo jako nośnik wartości zagrożonych	30
Andrzej Danowski — Środowisko kulturowe	32
Zbigniew Parafianowicz — Z Lutomierska do Górki Pabianickiej	33
Zbigniew Wilk — Biwaki... biwaki...	36
Jadwiga Boryta-Nowakowska — W Kijowie - na Ukrainie w 1917 r.	38
Anna Pilarska — Paryskie impresje	42
Anna Pilarska — Niepełnosprawni turyści w Anglii	47
Daniela Kaszczyk-Grodzicka — Uroki i zabytki Maroka	49

☆

Biuletyn PTTK „Wędrownik” wydaje Regionalna Pracownia Krajoznawcza PTTK w Łodzi

☆

Adres Redakcji: 90-301 Łódź, ul. Wigury 12a, tel. 36-40-10



☆

Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazyliński**, **Adam Chyżewski**, **Anna Dąbrowska** (Sekretarz Redakcji), **Zbigniew Lipowski**, **Anna Pilarska** (Redaktor Naczelny), **Stefan Zwierzyński** (Redaktor Techniczny).

☆

Numer zamknięto we wrześniu 1993 roku.



WITRAŻ - WÓLCZAŃSKA 31/33

fol. B. Bazyliński

Od Redakcji

Redakcja z radością informuje Czytelników, że na XIII Krajowym Zjeździe PTTK, który odbywał się w Poznaniu w dniach 26-28.02.1993 r., funkcję Prezesa Towarzystwa na kadencję 1993-1997 powierzono naszemu redakcyjnemu Koledze Adamowi Chyżewskiemu. W skład prezydium ZG PTTK obok Kolegi Chyżewskiego weszli Koledzy: **Gustaw Konopacki** (Wiceprezes), **Edward Kudelski** (Wiceprezes), **Janusz Zdebski** (Wiceprezes), **Marek Lengiewicz** (Skarbnik), **Wojciech Redzej** (Sekretarz Generalny), **Kazimierz Kowalski** (Członek prezydium), **Zbigniew Kresek** (Członek prezydium), **Marek Staffa** (Członek prezydium).

Z prac Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK w Łodzi

Regionalna Pracownia Krajoznawcza PTTK w Łodzi podjęła się w ramach stałej współpracy i wraz z Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK w Łodzi obsługi fotoreporterskiej XIII Krajowego Zjazdu Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, który odbywał się w Poznaniu w dniach 26-28.02.1993 r. Oprócz serwisu fotografii barwnej i czarno-białej przygotowano reportaż z przebiegu Zjazdu w technice video. Integralną część tego reportażu stanowią przygotowane merytorycznie przez pracownię łódzką wywiady z trzema reprezentatywnymi na Zjeździe osobami: **Panem Markiem Paszuchą** - prezesem Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, **Panem Włodzimierzem Łeckim** - wojewodą poznańskim i przewodniczącym Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK oraz **Księdzem prałatem Jerzym Pawlikiem** - członkiem Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK, któremu XIII Walny Zjazd PTTK nadał godność Członka Honorowego PTTK.

Pana Marka Paszuchę poprosiliśmy o rozmowę już w pierwszym dniu Zjazdu.

Anna Dąbrowska: Panie ministrze, czy widzi Pan możliwość dalszego wspomagania tych działań programowych PTTK, które ze swej natury nie mogą i nie powinny być dochodowe?

Marek Paszucha: Tak. W kryteriach, które opracowaliśmy wspólnie z ZG PTTK i uzgodniliśmy z Ministerstwem Finansów są, znane Pani, środki finansowe na zadania związane z edukacją, ze znakowaniem szlaków turystycznych, zarówno w sferze technicznej, jak i w pewnym zakresie inwestycyjnym oraz wydawnictwa. PTTK wypełnia w imieniu naszym, czy za nas zadania państwowe w sferze krajoznawczej, w sferze kulturowej. Na 1993 rok środki finansowe na ten cel są przewidziane, oczywiście w wielkościach, które nie satysfakcjonują, jednak relatywnie, jak na dzisiejszą sytuację ekonomiczną Polski, pokażne.

Anna Dąbrowska: W prasie ukazały się informacje o podjętych przez Pana urząd krokach mających na celu uporządkowanie rynku turystycznego. Czy mógłby Pan przybliżyć nam to zagadnienie?

Marek Paszucha: Na początku ubiegłego roku (1992) zespół trzyosobowy dokonał analizy ponad 100 aktów prawnych dotyczących bezpośrednio turystyki. Z każdego z tych aktów prawnych powstało zestawienie z informacją, co w tych aktach prawnych sprzyja rozwojowi turystyki, a co ten rozwój hamuje. I teraz, gdy w trakcie procesów nowelizacyjnych otrzymujemy sygnał, że dana ustawa, czy inny akt prawny jest przygotowywany do zmiany, jesteśmy gotowi. To porządkowanie sprowadza się, jak rozumiem Pani pytanie, m.in. do pewnych regulacji administracyjnych trzech dziedzin, tj. koncesjonowania biur podróży, licencjonowania przewodników i kategoryzacji obiektów noclegowych. Pierwsza wersja tego projektu ustawy została poddana konsultacji i spotkała się z bardzo różnymi, krytycznymi uwagami z jednego skrzydła i z drugiego skrzydła, w zależności od tego, kto opiniował. Niemniej jednak również konsultanci zagraniczni stwierdzili, że regulacje prawne idą za daleko i że po okresie trzyletniej liberalizacji tak ostre podejście do problematyki koncesjonowania i licencjonowania mogłoby dać niekorzystne efekty. W związku z tym korzystając z możliwości ekspertów zachodnich, którzy są do naszej dyspozycji, uzyskaliśmy kontrpropozycje. Obie te wersje w tej chwili są przedmiotem analizy. Chodzi nam o to, aby do uzgodnień międzyresortowych przekazać już opracowany projekt tej ustawy o zasadach świadczenia usług turystycznych w formie najmniej kontrowersyjnej. Niemniej jednak ze wszystkich stron od resortu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Służby Granicznej, Służby Celnej oraz od zagranicznych naszych partnerów słyszymy sugestie, aby jednak ograniczyć pewną dowolność, aby uzyskać pewne gwarancje dla jakości świadczonych usług i cen.

Anna Dąbrowska: Czy Pana zdaniem istnieją szanse, jeżeli tak, to jakie, rozwoju społecznej turystyki?

Marek Paszucha: Jest to sprawa związana z modelem życia, jest to sprawa związana z zasobnością społeczeństwa, jest to sprawa związana z poziomem kultury. Obserwujemy, Państwo obserwujecie w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym zmiany, z których część jest zmianami pozytywnymi - jest to ucieczka od techniki, ucieczka od nowoczesności w przyrodę; z drugiej strony obserwujemy też ucieczkę od turystyki społecznej w turystykę komercyjną. Tak jak wszystko w Polsce

konstrastuje się, tak i aspekty społeczne turystyki są poddawane różnym trendom. Nie można unifikować zachowań ludzi, nie można unifikować trendów, jakie występują w tej chwili w Polsce. Mają one zróżnicowany charakter - regionalnie, środowiskowo, intelektualnie. Myślę, że Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze jest wspaniałą grupą, wielką grupą ludzi, która wpływa na poziom świadomości kulturowej, przyrodniczej, na aspekty etyczne, aczkolwiek dzisiejsze moje przemówienie zmierzało do uświadomienia sobie, że dla takiego traktowania turystyki też są potrzebne pieniądze. A więc mówiąc o tym, że przyroda, że kultura, że zabytki, że usługi pilotów, przewodników są towarem turystycznym, namawiałem do włączenia się w rozwój przemysłu turystycznego.

Anna Dąbrowska: Na zakończenie rozmowy, jeżeli Pan pozwoli, pytanie bardziej osobiste - co jest bliższe Pana sercu - sport czy turystyka?

Marek Paszucha: Mojemu rozumowi jest bliższa turystyka, natomiast sercu jest bliższy sport, nie ukrywam, że koszykówka.

Anna Dąbrowska: Dziękuję ślicznie za rozmowę.

Wywiad z Panem Włodzimierzem Łęckim - gospodarzem Zjazdu przeprowadziliśmy w bardzo późnych godzinach wieczornych, po kolacji, jaką wojewoda poznański podjął członków Zjazdu.

Anna Dąbrowska: Panie wojewodo, jest Pan przewodniczącym Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, jednocześnie pełni Pan wysoką funkcję państwową. Jak z tej podwójnej pozycji - działacza Towarzystwa i wysokiego urzędnika państwowego widzi Pan los przyszłości krajoznawczej PTTK?

Włodzimierz Łęcki: Troszeczkę nie zgodziłbym się z określeniem wysokiego urzędnika państwowego. Wysocy urzędnicy państwowi są w Warszawie, a ku woli ścisłości ja siebie uważam za średniego urzędnika administracji rządowej. Jak widzę los PTTK? Myślę, że będą trudne czasy. PTTK stanie się organizacją podobną do PTK przed wojną, tzn. organizacją skupiającą stosunkowo wąski krąg osób autentycznie zainteresowanych krajoznawstwem. Aczkolwiek jest taka możliwość, że z dawnych czasów tej gigantomanii coś pozostanie i będziemy organizacją o charakterze bardziej społecznym od-

działającą na szersze kręgi przede wszystkim młodzieży szkolnej.

Anna Dąbrowska: Jak Pana zdaniem winna wyglądać w dzisiejszej rzeczywistości działalność krajoznawcza na szczeblu wojewódzkim?

Włodzimierz Łęcki: W tej chwili działalności krajoznawczej na szczeblu wojewódzkim bezpośrednio prowadzić nie można, bo nie ma Zarządów Wojewódzkich, tj. kwestia stworzenia jakiejś struktury wojewódzkiej. Ja, jako wojewoda myślę, że słuszne są moje działania, troszeczkę kultywuję działalność PTTK. Podległe mi dwa wydziały: Wydział Kultury i Sztuki i Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki prowadzą wcale dużą działalność wydawniczą. W ubiegłym roku ukazało się około 20 książek poświęconych tematyce regionalnej, historycznej, przyrodniczej i krajoznawczej. Jest to w pewnym stopniu kontynuacja poprzednich naszych działań, naszych tzn. Klubu Publicystów Krajoznawców, którego jestem członkiem. Wyszedł *Słownik Krajoznawczy Wielkopolski*, wyszła *Kuchnia Wielkopolska*, wyszła książka o Mieszku I, w tej chwili wyszła książka *100 x Wielkopolska*. I tu uważam, że jest pewna misja społeczna administracji rządowej, która powinna kreować właściwe postawy obywatelskie w społeczeństwie. I tu rola administracji rządowej jest zbieżna z działalnością społeczną PTTK.

Anna Dąbrowska: Jakie działania winny zdominować prace Towarzystwa - programowe czy ekonomiczne?

Włodzimierz Łęcki: Zdecydowanie programowe.

Anna Dąbrowska: A czy uważa Pan, że istnieją realne szanse pogodzenia tych dwóch kierunków?

Włodzimierz Łęcki: To jest kwestia pewnej filozofii działania. Ja myślę, a zapoznałem się dosyć wnikliwie z materiałami na Zjazd, te 90% wypracowanych środków przeznaczonych jest na wypracowanie dalszych środków. Przykład Domu Turysty w Poznaniu. Jest to przedsiębiorstwo Zarządu Głównego pobierające bardzo wysokie czynsze od Regionalnej Pracowni Krajoznawczej, którą ja jako wojewoda dofinansowuję. Z kolei zyski czy dochody z Domu Turysty są opodatkowane i to wraca z powrotem do skarbu państwa. Jest to niedobra sytuacja. W Domu Turysty powinny być wyodrębnione pomieszczenia przeznaczone dla działalności programowej zwolnione z czynszu, a z kolei administracja samorządowa, rządowa powinna w ogóle Dom Turysty w jakimś stopniu zwolnić z czynszu. Mówię w jakimś stopniu, bo to jest kwestia obniżenia czy zwolnienia z części nominalnych opłat

czynszowych. Natomiast wiem jakie jest nastawienie w mieście Poznaniu. Władze samorządowe uważają, że PTTK jest przedsiębiorstwem i jako takiemu nie udzielają żadnych ulg czynszowych. Natomiast gdyby PTTK realizowało tylko działania programowe, myślę, że samorząd dałby też ulgę. To co obserwuje się w gminach w województwie poznańskim.

Anna Dąbrowska: Na zakończenie proszę nam powiedzieć, co w krajoznawstwie urzekło Pana najbardziej?

Włodzimierz Łęcki: Ja uważam, że krajoznawstwo to jest w jakimś stopniu forma poszukiwania piękna. Absolutne piękno jest w przyrodzie, takie jest moje odczucie. Stąd wędrując szlakami można rozkoszować się tym co człowiek nazywa pięknem. Piękno to jest słowo bardzo mocne, to jest coś co jest ładne, a w ekstremalnym wymiarze piękne.

Anna Dąbrowska: Dziękuję bardzo za wywiad.

Księdza Jerzego Pawlika poprosiliśmy o rozmowę w trakcie zwiedzania wystawy Centralnej Biblioteki PTTK im. K. Kulwiecia w gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu.

Anna Dąbrowska: Na wstępie naszej rozmowy chciałabym złożyć Księdzu najserdeczniejsze gratulacje z okazji otrzymania na trwającym Zjeździe godności Członka Honorowego PTTK. Myślę, że jest to właściwy moment do podzielenia się doświadczeniem, refleksją. Stąd moje pierwsze pytanie - dlaczego właśnie krajoznawstwo stało się swoistą pasją życiową Księdza?

Jerzy Pawlik: To się nie stało nagle i niespodziewanie. Raczej jest to rezultatem jakiegoś rozwoju, możnaby nawet powiedzieć organicznego rozwoju. Jeszcze przed wojną kończyłem moje szkolenie na instruktora harcerskiego w Górkach Wielkich u samego mistrza Aleksandra Kamińskiego. Dlatego też po wojnie pracując w gimnazjum i liceum w Piekarach dużo się udzielałem w harcerstwie. Ale w pewnym momencie harcerstwo zmieniło kierunek. W tym nowym kierunku nie widziałem miejsca dla siebie. Dlatego w 1953 roku zdecydowałem się robić to samo, ale w ramach PTTK. Z tym, że u mnie jest takie trochę obciążenie, że ja kolejność przestawiam, najpierw krajoznawstwo, potem turystyka. Dla mnie krajoznawstwo jest pun-

ktem wyjścia. Krajoznawstwo poszerza horyzonty człowieka, horyzonty młodego człowieka. Uważam, ciągle potwierdzam, że horyzont przez dziurkę od klucza nie jest najlepszy. Krajoznawstwo zacieśnia zainteresowania, zacieśnia oceny, zacieśnia pragnienia i marzenia. Krajoznawstwo wskazuje na perspektywy bliższe i dalsze i to potem stanowi całość obrazu. Krajoznawstwo jest również dla mnie i tą szkołą, która uczy właściwych postaw, postaw patriotycznych. Dzięki krajoznawstwu człowiek poznaje pewne wartości, które uzasadniają i umacniają patriotyzm. Traktuję krajoznawstwo jako drogę pedagogicznych oddziaływań na młodych, ale równocześnie sam też jestem człowiekiem i sam też muszę rosnąć. Człowiek najpierw rośnie wzdłuż, potem się kończy ten wzrost i wpisują mu w paszport 170 cm. Ma drugą szansę rośnięcia wszerz, ale to nie jest zbyt chwalebne. Zostaje ta trzecia szansa rośnięcia w głąb, czyli bardziej intensywne życie człowieka. Rośnięcie w głąb równa się trochę rośnięciu duchowemu. I przez poznawanie, przez poznawcze procesy człowiek rośnie duchowo. Tutaj muszę uczciwie przyznać, że również i dla mnie krajoznawstwo jest tą drogą, która poszerza moje horyzonty, więcej wiąże mnie z tym terenem, z którego wyrosłem. Krajoznawstwo umacnia to, co by można nazwać moją dumą narodową. Krajoznawstwo jest trochę pasją, a trochę świadomym wyborem drogi.

Anna Dąbrowska: W ostatnich latach obserwujemy proces sukcesywnego pogarszania się kondycji polskiego krajoznawstwa i turystyki. W czym upatrywałyby Ksiądz przyczyn tego procesu?

Jerzy Pawlik: Przyczyn może być kilka. Jedną, która przyspieszyła ten proces, to są przemiany ekonomiczno-gospodarcze, bo krajoznawstwo prawdziwie i dobrze pojmowane nigdy nie będzie imprezą dochodową. Krajoznawstwo kosztuje. Na krajoznawstwo człowiek wydaje pieniądze, żeby pojechać do obiektu. A uprawiając krajoznawstwo człowiek również oddaje na to pewien czas, który mógłby z powodzeniem, zwłaszcza dzisiaj, wykorzystać na robienie grosza.

Przyczyn jakiegoś zanikającego, może przyciszzonego krajoznawstwa można upatrywać w tym, co byśmy nazwali brakiem zainteresowań. Dzisiaj wszystko człowiek dostaje w gotowej jak gdyby konserwie. Muzykę w kasetach, albo już teraz na płytach, film w video-kasce. Człowiek przyzwyczaja się do wygodnej postawy życiowej - skoro mi wszystko mogą dostarczyć do domu, to po co ja się mam wysilać. Rzecz, która mogła też zaciążyć na tym procesie, to jest to, że krajoznawstwo nie jest modne akurat dzisiaj. Niegdyś mogliśmy w czasie rozmów pochwalić się: poznałem to, widziałem

tamto, odwiedziłem jakieś regiony - to ubogaczało człowieka. Dzisiaj straciliśmy ambicje poznawcze, poszerzenia swoich umiejętności. Krajoznawstwo wymaga od człowieka pewnej samodzielności, bo to nie jest pełne krajoznawstwo, jeżeli ciągle jest człowiek prowadzony za rączkę. I ta ostatnia przyczyna, według mnie, to są błędy programowe. Ja przez 17 lat, prowadząc nieoficjalnie Komisję Krajoznawczą Oddziału PTTK w Bytomiu, organizowałem dwudniowe spotkania każdego roku nauczycieli-opiekunów SKKT. Dzień pierwszy, czyli sobota zawsze była teoretyczna (szukaliśmy dobrych specjalistów z wykładami), a niedziela była praktyczna, bo się odbywała wycieczka na tym obiekcie, czy na tych terenach, o których była mowa dnia poprzedniego. W ten sposób nauczyciele mieli co roku nowy program. Ci nauczyciele umieli młodzież w to wciągnąć. Dzisiaj w szkole krajoznawstwo jest kopcuszką. Krajoznawstwo w szkole jest prawie że niechętnie widziane. Tych młodych ludzi nie ma kto tego uczyć, bo nawet jeżeli jest jeden szczególnie zapaleni, no to jedną świeczką nie rozświetli całego miasta, a małą latarką nie oświetli całego kraju. I to też jest jedna z przyczyn. Krajoznawstwo powoli zanika, bo nie ma rozbudzonej chęci, nie ma rozbudzonych zainteresowań. I to wszystko sprawia, że krajoznawstwo zaczyna powoli jak gdyby przycichać. Ale to wcale nie oznacza, że ono zanika, bo jak by nie było raz po raz można znaleźć tu grupkę, tam pojedyncze osoby zainteresowane krajoznawstwem. Nowe przemiany stwarzają nowe warunki dla rozwoju krajoznawstwa. Powstają nowe kierunki. Chociażby tylko taki przykład. Niedawno temu dwie nauczycielki zwróciły się do mnie z prośbą, że chcą ze swoimi klasami pojechać na Ukrainę, żeby dzieciom pokazać tereny, na których odbywała się akcja „Ogniem i mieczem” przez Sienkiewicza opisywana. Jestem więc optymistą. Przechodzimy pewien kryzys, to jest jasne i zdajemy sobie z tego sprawę, ale ja widzę nowe szanse.

Anna Dąbrowska: We wrześniu 1990 roku w Opolu odbył się IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego. W Rezolucji Kongresu określone zostały główne działania krajoznawcze. Wśród nich na pierwszym miejscu wymieniono konieczność przeciwdziałania widocznemu kryzysowi wartości. W jaki sposób, zdaniem Księdza, można temu zadaniu sprostać?

Jerzy Pawlik: Właśnie, jak najmniej teoretyzowania, jak najbardziej intensywnie, praktycznie stosować krajoznawstwo. Boję się użyć terminu uprawiać, bo termin - *uprawianie* odnosi się raczej do dyscyplin sportowych. Jesteśmy akurat na jakimś zakręcie, jakimś wirażu, gdzie się więcej liczą wartości materialne, a krajoznawstwo wchodzi w zakres

tych wartości, które nazywamy wartościami duchowymi. Jeżeli ogólne warunki sprawiają, że człowiek, młody człowiek, dziecko więcej słyszy o wartościach materialnych, a mniej o wartościach duchowych, to ta atmosfera powoduje jakieś przesunięcie w hierarchii wartości. Przeciwdziałanie. Chociażby przez ukazywanie w najbliższym otoczeniu tych wartości krajoznawczych, które są stosunkowo mało znane, a może znane, ale mało dostrzegane. I tutaj znowu widzę wielką szansę dla PTTK i dla młodzieżowych zespołów, obojętnie czy to będzie SKKT czy PTTK, dostrzegania tych wartości, które wokół nas istnieją niedaleko. Modne są wycieczki bardzo dalekie, na których niewspółmierne do czasu spędzanego na poznawaniu jest zużycie czasu na dojazd. Czyli szukanie wartości w najbliższym otoczeniu, szukanie wartości na własnym terenie, a mamy ich bardzo dużo. Przeciwdziałanie. Trzeba zacząć od samej kadry. Rozpocząć od zmiany struktur. W tej chwili namnożyła się taka ilość biur podróży, które oferują jak gdyby krajoznawcze programy, wypisując to wszystko, co będą ludzie widzieli, a w praktyce tego nie ma, bo oni tego nie oglądają, nie zwiedzają, tylko po prostu zaliczają. Odejdźcie znowu od systemu zaliczania do prawidłowego poznawania będzie jedną z dróg. I my z tej drogi nie możemy zrezygnować. Druga sprawa to jest wytworzenie ogólnej atmosfery dla prawidłowego doceniania tych wartości, które człowiek osiąga przez krajoznawstwo. Po prostu zapuszczam silniej korzenie. Jeżeli mówiliśmy dużo o małej miłości do swojej ojcowizny, do swojej ojczyzny (ludzie odchodzili), to tylko dlatego, że korzenie były zbyt płytko zapuszczone, i pewnie dlatego, że człowiek nie znał tych wartości, na których wyrósł, a przecież wyrósł z jakiejś gleby, wyrósł z jakiegoś środowiska, wyrósł z jakiejś rodziny, wyrósł z jakiegoś narodu i kultury narodowej, dlatego też po prostu będzie nam trzeba szukać korzeni. Krajoznawstwo ma możliwości. Widzę to, co nam IV Kongres Krajoznawstwa w Opolu niejako w formie wizji przekazał możliwe do zrealizowania z równoczesnym uświadomieniem sobie i innym, że ja szukam swoich własnych korzeni, skąd ja się wziąłem, skąd to wszystko jest. Jeżeli rodziny albo rody mają swoje tablice genealogiczne, to dlaczego i naród nie ma mieć swojej tablicy genealogicznej, chociażby w sensie przenośnym. Nie dojdziemy do tej tablicy bez krajoznawstwa. Jak wcześniej wspominałem, ja często przedstawiam kolejność tego dwuczłonowego określenia, mówię znajomość kraju. Jeżeli przestawię tę kolejność i zastosuję właśnie tego rodzaju ustawienie - znajomość kraju, to już wskazuję kierunek działania.

Anna Dąbrowska: Dziękuję bardzo za rozmowę.

Z archiwum Towarzystwa

Dzięki uprzejmości Pani Wandy Skowron - Kierownika Centralnej Biblioteki PTTK im. Kazimierza Kulwiecia w Warszawie Redakcja otrzymała cenne materiały z pierwszych lat działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w regionie łódzkim.

Poniżej przedstawiamy przedruk sprawozdania z prac Oddziału PTK w Łodzi w roku 1909.

Łódzki.

Przed rokiem, mniej więcej, w Styczniu r. 1909 pp. Ignacy Hirszel, Roman Piaskowski i Jan Galikowski powzięli myśl zorganizowania w Łodzi oddziału Polskiego T-wa Krajoznawczego, a zebrawszy podpisy 30 osób, pragnących należeć do T-wa, zwrócili się do Zarządu T-wa Krajoznawczego w Warszawie z prośbą o podjęcie starań u władz odnośnych o zalegalizowanie Oddziału w Łodzi.

W dniu 7 marca r. 1909, t.j. w dniu ogólnego zgromadzenia organizacyjnego, lista członków Oddziału zawierała 128 podpisów, a na liście obecnych na zebraniu zapisało się 83-ch uczestników. Na członków Zarządu wybrani zostali: pp. Jan Galikowski, Ignacy Hirszel, Waław Jacuński, Kajetan Kędziński, Waław Kloss, Franciszek Lenartowicz, Tomasz Niklewski, Roman Piaskowski i Czesław Świerczewski; na zastępców zaś pp. Józef Adamowicz, dr. Stanisław Bartoszewicz i dr. Józef Koliński.

Nie mając na razie własnej siedziby, Oddział mieścił się przy Szkole Handlowej Kupiectwa Łódzkiego (Dzielną 41). Na pierwszym posiedzeniu powołanych do Zarządu Członków, odbytem w d. 9 marca, tenże Zarząd ukonstytuował się jak następuje: Prezes - Waław Kloss; Wiceprezesi: Tomasz Niklewski i Waław Jacuński; Skarbnik - Ignacy Hirszel; Sekretarz - Franciszek Lenartowicz; Członkowie: Kajetan Kędziński, dr. Józef Koliński i Roman Piaskowski; zastępcy: Józef Adamowicz i dr. Stanisław Bartoszewicz.

Utworzono następujące sekcje:

1) Odczytową - przewodniczący p. Tomasz Niklewski; 2) wycieczkową - p. Waław Jacuński; 3) biblioteczną - p. Roman Piaskowski; 4) muzealną - p. Czesław Świerczewski i 5) popularyzowania krajoznawstwa - pp. Adamowicz i Kędziński.

Działalność Zarządu w pierwszych 9 miesiącach istnienia Oddziału z konieczności musiała się skierować przede wszystkim ku należytemu zorganizowaniu się.

Pp. Niklewski i Jacuński, obydwoj stojący na czele oddzielnych sekcji: odczytowej i wycieczkowej, wskutek nieprzewidzianych okoliczności, zmuszeni byli z końcem Czerwca Łódź zupełnie opuścić, co oczywiście i na krótką ich działalność w Zarządzie wpłynęło ujemnie. W dniu 10 Października zwołane zostało nadzwyczajne ogólne zebranie ce-

lem skompletowania listy członków Zarządu; na miejsce wyżej wymienionych członków Zarządu powołani zostali: pani Gustawa Hirsbergowa i pp. Stanisław Kączkowski i Ignacy Wolanowski.

Zarząd postanowił działalność swą przystosować ściśle do terenu i zająć się przede wszystkim poznaniem najbliższej okolicy z miastem Łodzią na czele.

Zarząd odbył 24 posiedzenia; zebrań miesięcznych odbyło się 7; zorganizowano 5 wycieczek, a w dniu 14 Grudnia odbył się 1-szy pokaz kinematograficzny z objaśnieniami dla młodzieży szkolnej, zorganizowany przez sekcję popularyzowania krajoznawstwa.

Zebrań miesięczne.

W roku sprawozdawczym odbyło się 7 miesięcznych zebrań ogólnych, z nich pierwsze i trzecie w połączeniu z wyborami Członków Zarządu.

Wygłoszone zostały na nich następujące odczyty:

p. Karol Hoffman p.t. „Tam, gdzie się urodził J. Słowacki” (o Krzemieńcu);

p. Mikołaj Wisznicki, „O puszczy Białowiejskiej”;

p. Roman Piaskowski, wrażenia osobiste z wycieczki, dokonanej z Oddziałem Kujawskim Wisłą do Gdańska;

p. Józef Adamowicz, „Historia rozwoju przemysłowego m. Łodzi”;

p. Wiktor Czajewski, „O Warszawie w końcu 18 stulecia”;

p. Ignacy Wolanowski p.t. „Historia Łodzi i jej okolic w XVI stuleciu”;

dr. Mierzyński, „O rozsiedleniu ludności polskiej”.

Na wszystkich zebraniach miesięcznych przewodniczył Prezes Zarządu p. Kloss. W zebraniach tych uczestniczyło od 40-80 osób.

W lutym r. 1910, na miesięcznym zebraniu p. inżynier Bąkowski wygłosi (dawniej już zapowiedziany) odczyt „O Kaszubach”, poźatem mamy przyręczone odczyty: p. Franciszka Hirsberga „O Ojcowie” (pod względem geologicznym), p. Waława Klossa „O stylach w zabytkach naszej przeszłości”, wreszcie dr. Mierzyńskiego „O nazwach geograficznych polskich”.

WYCIECZKI.

Ciężkie warunki naszego pochłoniętego pracą zawodową miasta, brak czasu na dalsze wycieczki, wymagające więcej nad jedną dobę, gdy bliższe okolice mniej więcej są już łodzianom znane, utrudniało niezmiernie zarządowi urządzenie wycieczek, pomimo tego udało się z powodzeniem zorganizować następujące:

1. Wycieczka do Kalisza w d. 20 maja (osób 55), rzeczowych wyjaśnień udzielał wybitny znawca zabytków kaliskich p. Lesser, a prezes Oddziału Łódzkiego p. Kloss (przewodnik wycieczki) pogłęboko wyjaśniał cechy charakterystyczne stylów architektonicznych.

2. Wycieczka do Podklasztorza pod Sulejowem i Piotrkowa w dn. 13 Czerwca (osób 53).

W wycieczce „Wisła do Gdańska”, zorganizowanej przez Oddział Kujawski w Lipcu, wzięło udział 15 członków naszego Oddziału.

3. Wycieczka piesza do Łagiewnik w d. 16 Lipca (osób 46).

4. Wycieczka do Elektrowni w d. 14 Listopada (osób 52).

5. Wycieczka do Pabjanic w dn. 21 Listopada (osób 26).

KONKURS KRAJOZNAWCZY.

Celem rozbudzenia wśród łódzkiej uczącej się młodzieży zamiłowania do krajoznawstwa, Łódzki Oddział Polskiego Tow. Krajoznawczego ogłosił konkurs z dziedziny:

1) geografii i turystyki krajoznawczej; 2) historii naturalnej i 3) fotografii.

1. *Warunki konkursu z geografii i turystyki krajoznawczej:*

Opisać odbytą przez autora wycieczkę w granicach ziemi Piotrkowskiej lub najbliższych okolic, do niej przylegających, z możliwym uwzględnieniem wszelkich danych, w zakres geografii i krajoznawstwa wchodzących, a więc: fizyograficznych, historycznych, etnograficznych, przemysłowo-handlowych itp.

Rysunki lub zdjęcia fotograficzne w tekście pożądane. Oznaczyć też należy odległość jednej miejscowości od drugiej.

Opis zawierać ma najmniej 30 stron zesztytowanych pisma i pisany być winien dobrą polszczyzną. Termin składania prac 15 października 1910 r.

Praca, jak również koperta, zawierająca nazwisko i dokładny adres stającego do konkursu oraz wymienienie zakładu naukowego, do którego autor czy autorka pracy uczęszcza, winny być opatrzone godłem i przysłane przed upływem wskazanego terminu pod adresem Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (Łódź - Rozwadowska 15).

Na sędziów konkursowych zaproszeni będą specjaliści, którzy rozstrzygną konkurs z udziałem

przedstawicieli Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Krajoznawczego.

Praca zarówno nagrodzona, jak i inne odznaczone na konkursie, mogą być drukowane w organie Tow. Krajoznawczego „Ziemia”, bądź wydane przez Oddział Łódzki tegoż T-wa oddzielnie, po porozumieniu się z autorami.

Za pracę, uznaną za najlepszą, wyznaczoną zostaje nagroda w dziełach naukowych, stosownie do wyboru nagrodzonego autora, wartości 25 rb., podług ceny księgarskiej.

Nagroda ta przyznana będzie bezwzględnie i podziałowi nie podlega. W konkursie udział brać może tylko ucząca się młodzież (bez różnicy płci), uczęszczająca do łódzkich, zgierskich lub pabjanickich zakładów naukowych.

2. *Warunki konkursu z historii naturalnej.*

Przedstawić zielnik roślin jednego z następujących środowisk w granicach ziemi Piotrkowskiej: łąki, moczaru, lasu, karczowiska, ugoru, gleby rodzajnej, brzegu stawu, głębokiego rowu lub wydmy piaszczystej.

Zielnik, jak również koperta, zawierająca nazwisko i dokładny adres stającego do konkursu z wymienieniem zakładu naukowego, do którego autor czy autorka zielnika uczęszcza, winny być opatrzone godłem i przesłane przed d. 15 października 1910 r. pod adresem Łódzkiego Oddziału Polskiego Tow. Krajoznawczego (Łódź, Rozwadowska 15).

Nadesłane na konkurs zielniki mogą być wystawione na wystawie krajoznawczej, odznaczone zaś ewentualnie mogą się stać własnością Oddziału Towarzystwa za zwrotem kosztów.

Za zielnik, uznany za najlepszy, wyznaczona zostaje nagroda w dziełach naukowych, stosownie do wyboru autora wartości 15 rb. podług ceny księgarskiej.

Nagroda ta przyznana będzie bezwzględnie i podziałowi nie podlega. W konkursie udział brać może tylko ucząca się młodzież (płci obojej), uczęszczająca do zakładów naukowych łódzkich, zgierskich lub pabjanickich.

Uwaga. Dla wiadomości stających do konkursu podajemy kilka wskazówek, dotyczących herboryzacji.

Krótkie wskazówki

dla zbierających rośliny do zielnika.

Rośliny zielne i nie większe od 20-30 cm., lato-rosłe krzewów i drzew wrywać i obcinać w czasie kwitnienia; wybierać najdorodniejsze okazy roślin zwykłych i, rozłożywszy je starannie na zwyczajnej bibule, ścisnąć i przekładać; bardzo soczyste i grubsze przecinać wzdłuż. Wyciśnięte po kilku dniach nakładać na sztywne, białe arkusiki papieru, przymocowywać starannie za pomocą paseczków papieru, posmarowanych z jednej strony gumą arabską. Niewielkie łądźki i źdźbła wrywać z korzonkami

i te, wypłukawszy i wysuszywszy, razem naklejać. Kłęczce, drobne owoce, przecinać podłużnie. Zwracać uwagę na liście korzeniowe i łądźkowe, na kwiat i kwiatostan szczególnie. Drobne okazy umieszczać po kilka na jednym arkusiku, większe pojedynczo. Arkusiki jednakowych wymiarów z okazami wkładać do teczek, odpowiednich.

Przy zbieraniu roślin należy zapisać: miejscowość, datę kwitnienia, jakość gleby (piasek, rola rodzajna, łąka, moczar, karczowisko i t. p.). Należy przytem zanotować wygląd powierzchni danej miejscowości: czy równa, pagórkowata, kamienista, górzysta. W tym ostatnim wypadku należy uwzględnić mniej więcej wysokość w metrach lub stopach, na jakiej znaleziono roślinę. Nie pominąć uwagi, czy znaleziony okaz w danej miejscowości jest rzadkością, czy też znajduje się w obfitości. Egzemplarze botaniczne zaopatrzyć należy w nazwę łacińską i, wedle możliwości, polską. Pożądana też jest i nazwa rośliny ludowa.

Uwaga. Warunki konkursu fotograficznego są w opracowaniu i będą ogłoszone w najbliższej przyszłości.

W sprawie gromadzenia zbiorów do projektowanego Muzeum Łódzkiego, Zarząd wydał i rozesłał następującą odezwę:

Wielmożny Panie!

W marcu r. b. w Łodzi utworzony został oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, który ma na celu zbieranie wiadomości, dotyczących krajoznawstwa, gromadzenie danych naukowych: geograficznych, *statystyczno-ekonomicznych* i t. p., dotyczących ziem polskich i krajów przyległych, i następnie szerzenie wśród ogółu, a szczególnie wśród młodzieży, wiadomości, dotyczących krajoznawstwa.

Dla osiągnięcia swych celów Towarzystwo dąży następującymi drogami: organizuje wycieczki po kraju, prowadzone przez specjalistów, poszczególnych gałęzi; urządza wycieczki i ekskursje dla młodzieży uczącej się i członków swoich do miejscowości godnych uwagi z jakiegokolwiek względów; gromadzi wszelkie zbiory, dotyczące fizyografii, etnografii, *przemysłu* i t. p.

W myśl wyżej wymienionych zadań Towarzystwa, postanowiliśmy utworzyć muzeum, a w niem zgromadzić zbiory i różne okazy wytwórczości miejscowej, np. zobrazować pogłęboko wszystkie zmiany, jakim ulega bawełna i wełna po wyjęciu z beli, nim otrzymamy z niej przędzę, następnie okazy materiałów surowych, które zużywa przemysł łódzki ze wskazaniem miejscowości, skąd bywają sprowadzone (krajowe, czy zagraniczne) i produkty tak główne, jak i poboczne, wytwarzane przez fabryki miejscowe.

Muzeum takie, jako rodzaj stałej wystawy przemysłu łódzkiego, może być również użyteczne dla bardzo szerokiej publiczności.

Miasto Łódź i jego okolice w promieniu kilku mil przez matkę przyrodę po macoszemu potraktowane zostały, przeto nie spodziewamy się aby do nas przybyła wycieczka turystyczna, natomiast pewni jesteśmy, iż nie raz grono młodych techników zawita, aby podziwiać zblizka ognisko wielkiego przemysłu, nie mającego równego w kraju. Lecz wycieczki ludzi pracy zwyczaj odbywają się w dni świąteczne, kiedy fabryki stoją nieczynne i pozamykane, i można tylko zzewątrz podziwiać ich gmachy kolosalne, a z wytwórczością właśnie będzie można zapoznać się w projektowanym muzeum; zresztą zwiedzenie paru, a nawet kilku fabryk nie da jeszcze obrazu całokształtu łódzkiego przemysłu.

Młodzież szkolna, z której grona niejedna pożyteczna siła przybędzie naszemu przemysłowi, a znająca technologię włókna i przędzy tylko z książek, również chętnie odwiedzać będzie nasze muzeum dla dopełnienia swej wiedzy metodą pogłębłą.

W powołaniu się na powyższe, mamy zaszczyt najuprzejmiej prosić Wielmożnego Pana o łaskawe poparcie naszych zamierzeń przez zaofiarowanie okazów własnej produkcji do zbiorów naszego muzeum.

Mając niepłoną nadzieję, że nasza usilna prośba przez W. Pana zostanie przyjęta, piszemy się z wysokim szacunkiem

Prezes: *Wacław Kloss.*

Członek Zarządu: Sekretarz *Lenartowicz.*

SPRAWOZDANIE KASOWE.

DOCHODY:

Wpisowe	Rb. 207 k. —
Składki roczne	„ 570 „ 50
Ze sprzedaży wydawnictw	
centrali warszawskiej	„ 115 „ 95
Pozostałość kosztów wycieczek	„ 37 „ 42
Z opłat wejścia na zebrania od wpro-	
wadzonych gości	„ 17 „ 95
Z przedstawień kinematograficznych	
treści krajoznawczej	„ 7 „ —
Razem ..	Rb. 955 k. 82

WYDATKI:

Kupno mebli i sprzętów	Rb. 247 k. 65
Komorne za pół roku	„ 105 „ —
Koszty urządzenia zebrań ogólnych	
i miesięcznych (wynajęcie sali,	
honoraria prelegentów, obsługa	
i t. p.)	„ 136 „ 58
Na kupno wydawn. krajoznawczych .	„ 97 „ 14
Drugi, blankiety i inne materyały kan-	
celaryjne	„ 39 „ 81
Porto, marki stempl. i depesze	„ 28 „ 65
Incasso składek	„ 21 „ 65
Delegacje, rozjazdy i poszukiwania	
naukowe	„ 17 „ 28
Opał, światło i różne wydatki gospo-	
darcze	„ 49 „ —
Pozostałość na rok 1910	„ 213 „ 06
Razem ..	Rb. 955 k. 82

Zarząd Oddziału:

Prezes: Wacław Kloss.

Wice-Prezesa:

Czesław Świerczewski.

Józef Adamowicz.

Skarbnik: Ignacy Wolanowski.

Sekretarz: Franciszek Lenartowicz.

Kustosz-bibliotekarz: Gustawa Hirsbergowa.

Gospodarz lokalu: Kajetan Kędzierski.

Członkowie Zarządu:

Stanisław Bartoszewicz.

Ignacy Hirszel.

Stanisław Kączkowski.

Józef Koliński.

Roman Piaskowski.

CZŁONKOWIE ODDZIAŁU:

Adamowicz Józef.

Adamczewski Lech.

Adamczewski Wacław.

Andrzejewski Aleksander.

Andrzejewski Henryk.

Arkuszewski Jan.

Barczewski Józef.

Bartoszewicz Stanisław.

Baumfeld Gustaw.

Bąkowski Franciszek.

Becker Eugenjusz.

Beckerowa Jadwiga.

Bernhard Antoni.

Bielicki Stanisław.

Birencweig Bernard.

Bobakowski Jan (Pabjanice).

Brabander Konrad.

Bryl Aleksander.

Charemza Antoni.

Chlebowski Czesław.

Chorzelski Alfred.

Cichocki Bronisław.

Dąbrowski Jan.

Dembowski Franciszek.

Donatowiczówna Eugenja.

Drzewiecki Bolesław (Pabjanice)

Dulewicz dr.

Eichler Witold dr. (Pabjanice).

Fiedler Konrad.

Fischer Ludwik.

Foerster Paweł.

Fuchs Alfred.

Gablerowa L.

Garlikowski Jan (Zgierz).

Garliński Władysław dr.

Gelade Natan.

Goldbergowa Hanna.

Goldmüntz Michał.

Gontarska Sabina.

Gorski Korneli dr.

Grabowska Zofia.

Grzybowska Marya.

Grzymska Janina.

Gutowski Władysław.

Hanczke Ludomir (Żelgoszcz).

Hansen Karolina.

Hansen Małgorzata.

Haupt Władysław.

Heinrich Edward.

Hentschlowa Felicya.

Hepen Antoni.

Hermanowski Wojciech.

Hirsberg Franciszek.

Hirsbergowa Gustawa.

Hirszel Ignacy.

Horodyński Włodzimierz.

Iżycka Aleksandra.

Jarzebowski Juljusz.

Jasiński Bronisław.

Jasiński Władysław (Zgierz).

Jastrzębska Zofia.

Jehn Robert.

Jętkiewicz Lucyan.

Kajzer Roman.

Kamenz W.

Kączkowski Stanisław.

Kędzierski Kajetan.

Kloss Wacław.

Knapski B.

Koliński Józef dr.

Koldonek Antoni.

Kon Adolf.

Konarzewska Bronisława.

Konarzewski Tadeusz.

Konic Józef dr.

Konzon Nafteli.

Konopczyńska Zofia.

Koralowa Ludwikowa.

Kossuth Ludwik.

Kotynic Andrzej.

Kowalski Jan.

Kozłowski Karol.

Kożuchowski Tadeusz.

Kreutzer Stanisław.

Kreutzerowa Józefa.

Kujawski Wacław.

Kuliz Edward.

Kułąkowski Czesław.

Kułąkowski Zdzisław.

Lange Józef B.

Lechowski W. D.

Leman Jerzy.

Lenartowicz Franciszek.

Liesel Stanisław.

Lindner Antoni.

Lipski A.

Lorentz Ryszard.

Łopatto Stanisław.

Łopatto Szczęsna.

Łoziński Stanisław.

Łuba Maryan.

Łukomski Stanisław.

Maciński Paweł.

Macińska Wiktorya.

Majeranowska Bronisława.

Majeranowska Lucya (Zgierz).

Maj-Majewski Eugeniusz.

Majewski Henryk.

ks. Malinowski Ryszard.

Małkowski Wiktor.

Masłowski Jan.

Maternicki Franciszek Henryk.

Michałowski Antoni.

Mierzyński dr.

Mix Paweł.

Müller Sydonja.

Müller Wanda.

Nakielski Stanisław.

Newe Jadwiga.

Nitecki Mieczysław.

Nosiekiewiczówna Leonja.

Offert Władysław.

Okuszko Celina.

Olczak Stanisław.

Ostrowski Wacław.

Pawłowicz Bronisław.

Pągowska Janina.

Pętkowska Zofia.

Pfeiffer Józef.

Piaskowski Alfons.

Piaskowski Roman.

Pietkiewicz Adolf.

Plichta Stanisław dr.

Pogonowski Józef.

Pogorzelska Jadwiga.

ks. Przeździecki Henryk.

Przybylski Wacław.

Radwański Józef.

Radwański Stanisław.

Raubal August.

Rebel Aleksander.

Rędziejewski Stanisław.

Rowiński Jan.

Rudziński Władysław.

Rudolf Edmund.

Rusin Józef.

Rządkowski Zygmunt.

Sadkowski Henryk dr.

Sandomierski Zygmunt.

Schoeneich Janina.

Scholtz Henryk.

Sellens Adam.

Siemiątkowski St.

ks. Sienicki Bronisław.

Siennicka Lucyna.

Skalski Stanisław dr.

Skowroński Zygmunt.

Smoleńska Stanisława.

Sonnenberg E. dr.

Stanisławski Adam.

Starostecki Bronisław.

Starowicz Jan.

Starzyńska Z.

Stawowczykówna M.

Stebelski Kazimierz.

Stępowski Wacław.

Sulikowski Władysław.

Sumiewski Adolf.

Surowiecki Aleksander.

Suszyński Ignacy.

Świerczewski Czesław.

Szaniawski Czesław.

Sznajder Władysław.

Szonert Ignacy.

Szymanowski Jan.

Tauchertówna Otylia.

Tolkemij Karol.

Trembecka Helena.

Trenkner Henryk dr.

Trenknerowa Henrykowa dr.

Tucholski Antoni.

Tulin Roman.

Wasilewska Marya.

Wasilewski Jan.

Wasilewski Felicyan (Pabjanice).

Wieliczko Juliusz dr.

Wilks Waldeman.

Witkowski Józef.

Wolanowski Ignacy.

Wołkowski Władysław.

Wróblewski Franciszek.

Wróblewski Kazimierz.

Wyrzykowski Henryk.

Wysocki Aleksander.

Zaborowski Józef.

Zaborski Mieczysław.

Zaleski Karol.

Zalewska K.

Zarzycki Mieczysław.

Zasacka Stanisława.

Zasacki Konstanty.

Zawisza Walenty.

Zbijewska Julja.

Zieliński Stanisław.

Zylberbaumówna Jadwiga.

Żebracka Leokadya.

570 lat praw miejskich Łodzi

Okoliczności, data, a nawet miejsce powstania wsi Łódź (łac. Lodza, Lodzia, Lodzya) od wielu lat były przedmiotem sporów historyków. Początkowo przyjmowano, iż osada ta powstała dopiero w okresie między 1250 a 1332 rokiem. Obecnie wysuwa się hipotezę, że Łódź mogła powstać znacznie wcześniej i prawdopodobnie istniała już w I połowie XII wieku. Wieś położona była w dolinie rzecznej, zapewne w okolicach obecnych ulic Smugowej i Źródłowej. Początkowo była własnością monarszą, przechodząc jeszcze przed 1332 rokiem we władanie biskupów włocławskich. Dobra łódzkie były dosyć rozległe, obejmujące w przybliżeniu obszar na jakim do 1840 roku rozprzestrzeniło się miasto Łódź (ok. 27 km²). Umożliwiło to w miarę rozwoju gospodarczego tych ziem zakładanie w granicach dóbr kolejnych osad - najwcześniej, około 1380 roku, powstała wieś Widzew.

Pierwszy dokument, w którym wzmiankowana jest wieś Łódź, wystawiony został w Łęczycy 6 września 1332 roku przez księcia łęczyckiego i dobrzyńskiego Władysława. Aktem tym książę zwolnił 15 wsi (m.in. Łódź) należących do biskupstwa i kapituły włocławskiej od wszelkich opłat, powinności oraz sądownictwa urzędników ziemskich i pozwalał lokować je na prawie niemieckim lub polskim.

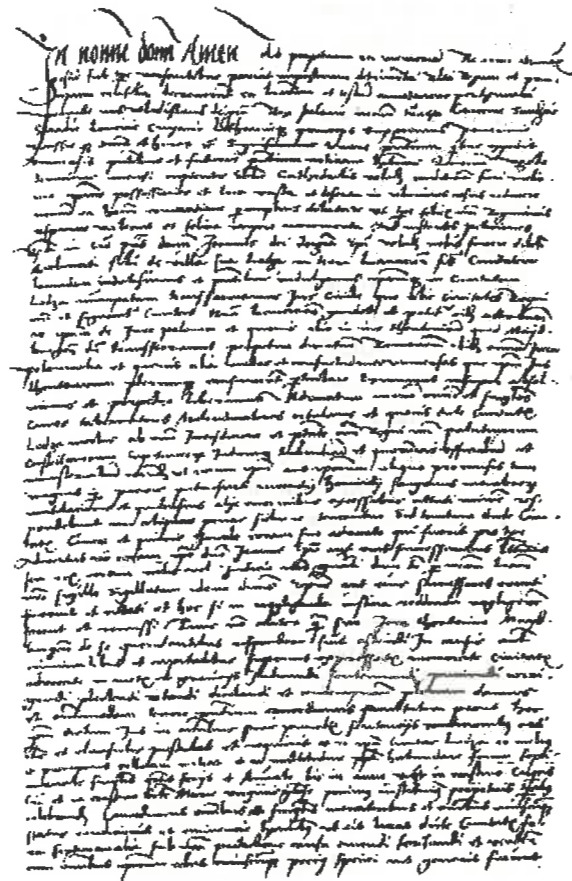
Na przełomie XIV i XV wieku zaczęło powstawać nowe osiedle usytuowane na zachód w stosunku do wsi Łódź, która podupadając utraciła swą nazwę zyskując miano Starej Wsi. Nowa osada, późniejsze miasto Łódź, położona w dogodnym miejscu wzdłuż traktu łęczycko-piotrkowskiego przy przeprawie rzecznej, przyciągała ludność trudniącą się rzemiosłem i handlem. Trakt, z którym łączyła się sieć dróg lokalnych, komora celna nad rzeką Ostroga (obecnie Łódka) i kościół usytuowany w miejscu, gdzie dziś wznosi się kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (Plac Kościelny), stanowiący niejako drogowskaz dla podróżujących. Rozwój tej osady musiał być już w 1414 roku dość zaawansowany skoro kapituła włocławska postanowiła uregulować jej sytuację gospodarczo-prawną. Pewne znaczenie mogło mieć też ożywienie na przechodzącym przez Łódź trakcie w okresie wojen prowadzonych przez Władysława Jagiełłę z Krzyżakami, kiedy rycerstwo wielkopolskie zmierzało na miejsce koncentracji wojsk w Wolborzu.

Lokacja miasta w dobrach kościelnych i szlacheckich wymagała dwóch przywilejów - monarchy i właściciela osady. Władcy, zazwyczaj jako pierwsi, określali w dokumencie głównie uprawnienia

prawno-sądowe oraz uprawnienia gospodarcze mieszczan, jeżeli wiązało się to z uszczupleniem dochodów monarchy. Z kolei właściciele wysuwali na plan pierwszy sprawy gospodarczo-społeczne regulujące ich stosunki z mieszkańcami miasta. Akt królewski był konieczny do nadania praw miejskich.

W przypadku Łodzi jako pierwszy wydany został dokument właściciela (kapituły włocławskiej), wystawiony 15 maja 1414 roku we Włocławku. Kapituła „pragnąc dobra stołowe nasze kapitulne do lepszego stanu doprowadzić...” lokowała w granicach wsi Łodzi miasto Ostrogę (nazwa przyjęta od nazwy rzeki - nie przyjęła się) oraz określała powinności i przywileje mieszczan. Dokument ten zapoczątkował podnoszenie osiedla do rangi miasta, nie był natomiast, jak uważali niektórzy historycy, nieudaną próbą lokacyjną. Otrzymanie praw miejskich uzależnione było od decyzji monarchy.

Oczekiwanie na akt królewski trwało ponad 9 lat - dokument wystawiony przez Władysława Jagiełłę w Przedborzu nosi datę 29 lipca 1423 roku.



fol. E. Szkudlarek

Władca, „... pragnąc stan kościoła katedralnego włocławskiego uczynić lepszym, a jego posiadłości oraz miejscowości zniszczone i opustoszałe do korzystniejszego używania doprowadzić i ściąganie tam ludzi jak najszerzej rozwijać...”, pozwalał lokować miasto Łódź na prawie magdeburskim uchylając jednocześnie wszelkie dotychczasowe prawa. Dokument spisany zapewne według stosowanego wówczas w kancelarii królewskiej formularza zawierał typowe przywileje: uwolnienie mieszczan, karczmarzy, młynarzy, zagrodników i wszelkich innych mieszkańców od sądownictwa urzędników ziemskich, odtąd odpowiadać mieli jedynie przed wójtem, a ten przed biskupem i jego legalnymi następcami, względnie przed królem lub jego sędzią generalnym. Miasto otrzymało pozwolenie na odbywanie targów w środy oraz dwóch jarmarków w roku, w dzień po świętach Bożego Ciała oraz Wniebowzięcia NMP (16 sierpnia), co wiązało się z wezwaniem miejscowego kościoła. Dokument Władysława

JADWIGA BORYTA-NOWAKOWSKA

O niegdysiejszej Łodzi

Do Łódzkich Teatrów Miejskich zaangażowałam się na sezon teatralny 1937/38. Miałam za sobą trzy filmy („Przedwiośnie” - rola Wandy, „Pod Bandera Miłości” - rola szpiega, „Przybłęda” - rola Hucułki zdradzonej żony) oraz skończony Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. Kiedy kończyłam Instytut, braterstwo moi Sawan i Malicka prowadzili własny teatr, ale między nami była umowa, że w żadnym razie nie będę się angażować do nich, aby nie stwarzać „rodzinnej protekcji”. Natomiast po podyplomowym popisie wśród dyrektorów, którzy zjeżdżali się z całego kraju, by „łowić młody narybek”, panowało przekonanie, że oczywiście Boryta angażuje się do teatru swego brata. Wszystkie koleżanki i koledzy podpisali kontrakty, tylko nie ja. Przypadek zrzucił, że Hugon Moryciński, jeden z dwóch dyrektorów Zjednoczonych Teatrów Miejskich w Łodzi, będąc na przedstawieniu w teatrze braterstwa na pytanie Malickiej, kogo zaangażował z PIST-u, powiedział: „miałem ochotę na Borytę, ale przecież wyście ją zaangażowali”. Malicka poinformowała go o istniejącym stanie rzeczy i Moryciński jeszcze z sekretariatu teatru zatelefonował do mnie z propozycją angażu - przyjął.

Tu trzeba wyjaśnić ryzyko jakie podjęłam. ZASP (Związek Artystów Scen Polskich) wymagał pisemnych kontraktów, w przeciwnym zaś razie w przypadku jakiegokolwiek konfliktu aktora z dyrekcją teatru nie brał go w obronę. Ówczesny prezes

Jagiełły zakończył proces przekształcania się osady wiejskiej w miasto, zamykając pierwszy etap w rozwoju tego ośrodka.

Przypadającą w tym roku 570. rocznicę uzyskania praw miejskich przez Łódź Muzeum Historii Miasta Łodzi uczciło wystawą prezentującą po raz pierwszy w naszym mieście najstarsze zachowane dokumenty związane z jego historią. Z Biblioteki Narodowej im. Ossolińskich we Wrocławiu i Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie wypożyczono na przeciąg miesiąca (od 29 lipca br.) XVI-wieczny kopiariusz M. Drzewieckiego z odpisem dokumentu nadania praw miejskich (oryginał zaginiony), XIV-wieczną Księgę Ziemią Łęczycką z odpisem aktu z 1332 r. (oryginał również zaginiony) oraz XVI-wieczną księgę miejską. Wystawę wzbogaconą o faksymile innych XIV-XV-wiecznych dokumentów dotyczących Łodzi przygotowała kustosz Grażyna Kobjek.

ZASP-u Józef Śliwicki kategorycznie polecał spełnić powyższy nakaz. Dwa miesiące wakacji spędziłam uczestnicząc w „Wakacyjnym Instytucie Sztuki”, organizowanym przez Ministerstwo Kultury dla nauczycieli. Absolwenci szkół artystycznych, jak naszego Instytutu i Akademii Sztuk Pięknych, prowadzili seminaria. Lipiec w Gdyni, sierpień w Wiśle. Pod koniec sierpnia nerwowo już nie wytrzymałam. Poprosiłam listownie matkę, aby zadepesowała mi: „Dyrektor wzywa Łódź” i na jej podstawie skróciłam moją pracę na W.I.S. Na parę dni przed pierwszym września (sezon teatralny rozpoczynał się 1 września) późnym wieczorem wysiadłam na dworcu „Łódź Fabryczna” i wiedziona jakimś instynktem udałam się do hotelu „Savoy”, był on właśnie „aktorskim” hotelem, w którym mieszkali do znalezienia sublokatorskiego pokoju lub zgoła mieszkania, o które nie było znowu tak trudno. Łódź rozbudowywała się i powstawały całe nowe dzielnice, o domach od zwykłych czynszówek do naprawde komfortowych. Ja nie znałam Łodzi, nie miałam pojęcia na jakich ulicach mieszczą się teatry.

Pokój w hotelu dostałam oczywiście bez najmniejszego trudu, tak jak to było wówczas na terenie całego kraju. Po podróży umyłam głowę i poszłam spać. Na drugi dzień, po przebudzeniu, kiedy chciałam się uczesać, spotkała mnie pierwsza nie miła niespodzianka - włosy były dokładnie zlepione pozostałością mydła tak, że grzebieniem nie dało się

ich rozdzielić. W Łodzi wodę do mycia włosów kupowało się w aptekach destylowaną lub myło się je u fryzjera, co też zaplanowałam na pośniadanie. Mój kask włosów przykryłam kapeluszem i zeszłam do hotelowej restauracji na śniadanie. Przed wszystkim wzięłam do ręki łódzką gazetę w nadziei, że znajdę tam adresy teatrów. W tej to gazecie na poczesnym miejscu znalazłam tytuł: „Tegoroczny zespół aktorów Zjednoczonych Teatrów Miejskich” (w poprzednim sezonie były dwie osobne dyrekcje teatralne - jednej dyrektorem był Kazimierz, nie jestem pewna imienia, Wroczyński, a drugim Hugon Moryciński, na czym polegał ten dualizm dziś nie pamiętam, za mojej bytności Wroczyński był raczej administracyjnym, a Moryciński artystycznym, co w ówczesnych teatrach chyba się nie zdarzało - bywał dyrektorem jeden i kropka). Ale wracając do gazety: W pierwszych liniijkach, tłustym drukiem, rzuciły mi się w oczy takie nazwiska, jak: Barbara Ludwiżanka, Władysław Hańcza, Michał Pluciński, gościnnie Józef Węgrzyn itp., tych „tłustych” liniijek było niewiele, potem następował „petit”, w którym przypuszczalnie powinny znajdować się moje nazwisko, pierwszorocznej aktorki teatralnej - nie ma go, zrobiło mi się gorąco, ale postanowiłam przejrzeć wszystko od deski do deski i coś widzę. W końcowej liniijce tłustego druku czytam: „oraz znana z wielu filmów polskich Jaga Boryta”. Nie tylko kamień spadł mi z serca, ale jakieś skrzydła wykiełkowały mi na ramionach. Zjadłszy śniadanie, dostałam adres dobrego fryzjera, ruszyłam w Łódź, czyli w ulicę Piotrkowską, bo ongiś mówiło się, że „miasto Łódź - to ulica Piotrkowska i te domy, które się na niej nie zmieściły”. Fryzjerka, która zaopiekowała się moją głową, a której nie przedstawiłam się, z promiennym uśmiechem powiedziała: „Tak się cieszymy, że pani jest w tegorocznym zespole naszych teatrów”. Moje skrzydła urosły jeszcze parę centymetrów. Ale to powiedzenie dało mi do zrozumienia, że Łódź jest miastem „teatralnym”, że jego mieszkańcy kochają „swój” teatr. Znakomicie podniesiona na duchu i zdobywszy jakoś adres głównego teatru „Polskiego”, w którym mieściła się administracja, ruszyłam na ul. Śródmiejską. Spotykam kolegę z PIST-u starszego stażem o rok Ludka Kozłowskiego, który wskazuje mi „gmach” teatru niczym nie różniący się od przylegających doń z obu stron kamienic, jedynie napisem na frontonie „Teatr Polski”.

Zespół aktorski liczył ponad dwadzieścia osób. Byli to przeważnie aktorzy zaawansowani w fachu, ale w większości wyrosli z „terminatorów”, czyli zaczęli pracować w teatrze bez wcześniejszego szkolenia od małych ról, a nawet statystowania, i w miarę pracy i talentu wyrastali na wielkie gwiazdy. My wychowankowie PIST-u, czyli Zelwerowicza, czyli potocznie Zelwera, byliśmy w znacznej mniejszości. Reżyserów stałych było kilku: Hugon

Moryciński, Zygmunt Biesiadecki, Bronisław Dąbrowski też i aktor oraz Wroncki (imienia nie pamiętam). „Obsługiwaliśmy” sceny czterech teatrów: „Polski” na ul. Śródmiejskiej, „Kameralny” na ul. Cegielnianej, „Popularny” na ul. Ogrodowej i „Sala u Gayera” na ul. Piotrkowskiej.

W owych czasach teatry nie miały wolnych dni z wyjątkiem trzech w roku: Wielki Czwartek, Piątek i Sobota. W niedzielę z reguły dwa, a czasem trzy przedstawienia. Ponieważ w repertuarze grano naraz kilka sztuk, większość aktorów zatrudniona była permanentnie, np. ja w początkowym okresie nie byłam w niczym obsadzona, dopiero w lecie 1938 r., i miałam pecha, bo po zaledwie kilku wolnych dniach musiałam wziąć zastępstwo z powodu choroby którejś z koleżanek. Pomimo że Łódź była niewątpliwie miastem teatralnym, a aktorzy byli faworyzowani na każdym kroku: w kinach, w lokalach, nawet w małych knajpkach. Finanse teatru nie były w kwitującym stanie. Dotacje miejskie niewielkie, teatr musiał zapracować na siebie. „Polski” i „Kameralny” miały jaką taką frekwencję, natomiast często zdarzało się, że w „Popularnym” i u „Gayera” miewało się wolny wieczór, ponieważ na sali nie było ani jednego widza. Toteż i gaże otrzymywaliśmy przeważnie zaliczkowo, a od czasu do czasu wyrównawczo. Tylko, że w owych czasach aktorzy mieli bardzo specyficzny stosunek do teatru. Teatr naprawdę wypełniał im życie. Teatr był ich, a ponieważ zdawali sobie sprawę, że każdy spektakl pracuje na gaże, przeto nie zdarzało się, by był odwoływany z „powodu choroby aktora”, mogło się to zdarzyć w przypadku choroby z zagrożeniem życia i brakiem zastępstwa. Bywało tak, że chory aktor grał, a za kulistami siedział wspierający go lekarz. Prócz stałego zespołu bywały angażowane wielkie nazwiska na gościnne występy, jak Aleksander Węgierko reżyser i aktor, Józef Węgrzyn, Junosza Stępowski. Stałych scenografów pracowało dwóch, obydwaj wybitni: Otto Axer i Konstanty Mackiewicz i jako scenografowie, i jako malarze. Muszę tu wspomnieć o największej ulubienicy łódzkiej publiczności, o Stefanii Jarkowskiej. To była aktorka o rzadko spotykanej viskomicie, jednocześnie o niebywałym cieple. Fizycznie drobna, raczej niepozorna. Publiczność ją uwielbiała. Żydzi, którzy stanowili znaczną większość ludności łódzkiej, uważali ją za Żydówkę, a Polacy za Polkę. Stefa wiele lat spędziła w Łodzi, „wymigrowała” z niej z pewnych osobistych życiowych względów do Warszawy, a kiedy przyjechała na parę dni do Łodzi i wchodziła do kawiarni „aktorskiej” - „Ziemiańskiej”, cała sala wstawała bijąc brawa, zaś kiedy na przedstawieniu w teatrze „Kameralnym” już po podniesieniu kurtyny zobaczono ją w łożu, publiczność wstała i zgotowała jej taką owację, że trzeba było kurtynę spuścić i odczekać.

Postacią w teatrze „Polskim”, która przeszła do jego historii i o której było nawet szereg publikacji, był krawiec o nazwisku Pytel, imienia nie pamiętam, bo nigdy nie było umieszczane. Pytel był narodowości żydowskiej, był majątnym kamienicznikiem, w teatrze pracował nie dla zarobku, ale z miłości do niego. Kochał teatr, kochał swoją dla niego pracę. Był cicho dowcipny, chwytający w lot okazję do celnego dowcipu lub sam ją tworzył. Dla przykładu podam parę „strzałów” Pytla: w próbach szła jakaś sztuka kostiumowo-mundurowa z gościnnym występowniczem. Grał w niej również młody aktor słusznego wzrostu Kazimierz Wichniarz. Pytel zamawiał go na kolejne przymiarki, Kaziowi bardzo podobał się mundur, był niezwykle szykowny. Na tych przymiarkach zgłaszał Pytłowi zastrzeżenia, że rękawy i spodnie są nieco za krótkie, kołnier jest za ciasny, na co Pytel uspokajał go, że „wszystko będzie dobrze”. Kiedy kostium był kompletnie gotowy i zostało już tylko przypięcie medali, Kazio zaprotestował już ostro, że mundur jest dla niego za ciasny. Pytel z całym spokojem oświadczył mu: „A czy ja Panu powiedziałem, że to jest mundur dla Pana? To jest mundur dla występownicza, a przecież ja go nie będę fatygował do przymiarek”.

Jeden z kolejnych dyrektorów mocno „zarwał” wszystkim. Przygotowując jakąś sztukę, polecił rekwizytorowi przynieść krucyfiks, rekwizytor przyniósł krzyż, dyrektor powiedział: „to nie jest krucyfiks, tu trzeba nabić Chrystusa”, na to Pytel: „Nas już nabił, teraz będzie nabijał Chrystusa”.

Generalna próba „Nocy Listopadowej”. Pytel na widowni przygląda się i opiniuje: „Sztuka narodowa... Greki się pokłócili, biegają po scenie, Sztuka narodowa...”. O powiedzonkach Pytla możnaby długo. Przyjaźnił się on „karciano-pokerowo” z Konstantynem Mesekiewiczem i inspicjentem (niestety nie pamiętam ani imienia, ani nazwiska). Ich „partyjki” miewały wielu kibiców i to nie ze względu na sposoby prowadzenia przez graczy licytacji, lecz to w jaki sposób były one wygłaszane: Pytel żyłdłaczył z mazurska, Mesekiewicz zaciągał z ruska, a inspicjent się jękał, do tego wszyscy trzej byli zapalczwi. Wspominałam wyżej o sympatii, jaką cieszyli się aktorzy, ale zgoła niezwykłą była sympatia świata przestępczego, a świat ten w owe czasy zorganizowany był z wielką precyzją! Na jego czele stał „Ślepy Max” - Żyd z czarną patką na oku, wielki miłośnik teatru, w pewnym czasie finansował (dziś byśmy powiedzieli „sponsorował”) kabaret „Czarny Kot”, będący wylęgarnią wielu wybitnych gwiazd takich kabaretów, jak: „Qui pro quo” czy „Morskie Oko”.

„Ślepy Max” rządził żelazną ręką, jeśli zgłoszono mu, że okradziono kogoś, Max wyznaczał cenę wykupu skradzionych rzeczy i wracały one do prawowitego właściciela, ale był jeden warunek - kra-

dzież przed zgłoszeniem do Maxa nie mogła być zgłoszona policji. Jeśli jednak został okradziony aktor, nie było mowy o jakimkolwiek wykupie, skradzione wracało do właściciela z przeprosinami, że złodziej był nowicjuszem, nie znał aktora itp.

Niebywałą postacią był też pewien dorożkarz, zwany „Szekspir”. Przeważnie jeździł nocami i wsiadającego pasażera zagabywał o to, co ten myśli o teatrze, a w szczególności o Szekspirze i jeśli pasażer wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie tym tematem, „Szekspir” zapraszał go do jednej z nocnych łódzkich knajp i mógł dyskutować do białego ranka - oczywiście o ile interlokutor miał na to siły i ochotę.

Łódź przedwojenna była przedziwnym miastem. To było przecież duże miasto fabryczne, nie posiadające kanalizacji, zastępowały ją „szamba”, które opróżniano kwartałami, ulice były opróżniane nocami. „Gęste” wywożono beczkowozami, a nie spuszczano ulicznymi rynsztokami. Mieszkańcy wiedzieli, kiedy jaki kwartał jest opróżniany i pod wieczór szczerlnie zamykali okna. Biada temu, kto przegapił termin. Przeszłam osobiście taki przypadek, na szczęście miałam mieszkanie z piecami i otworzywszy od nich drzwiczki, mogłam jakoś przetrzymać kataklizm. Poza tym Łódź to były wielkie fortuny Scheiblerów, Grohmanów, Gayerów czy Poznańskich i biada Bałut, gdzie nędza była tak wielka, że Magistrat organizował wywózkę obierek kartoflanych, które zrzucane na ulicę w ciągu kilkunastu minut znikaly.

W karnawale wielkim ewenementem był bal w Pałacu Poznańskich. Nie przypominam sobie z jakich powodów aktorkom łódzkich teatrów nie wypadało bywać na tych balach, natomiast koledzy bywali. Jeden z kolegów tak mi relacjonował swoje wrażenie z balu: „Poprosiłem jakąś mocno wybrylantowaną panią do tańca. Po tańcu zaproponowała byśmy poszli do bufetu, szybko obliczam zawartość mego portfela, no na parę kieliszków czegoś tam starczy. Pani z punktu zamawia najdroższy koniak, sięga po łososia i kawior, robi mi się coraz goręcej, pani ma i «spust» i apetyt. Drżącym głosem pytam się obsługującego bufet barmana, jednocześnie rozglądam się gorączkowo po sali od kogo mógłbym pożyczyć pieniędzy na zapłacenie, według mojej oceny astronomicznego rachunku - z ust barmana pada suma - jeden złoty. No możesz sobie wyobrazić w jakim stanie późnym rankiem wróciłem do domu...”

W owych latach wśród aktorów przemieszczających się często z miasta do miasta, czemu sprzyjała owa łatwość mieszkaniowa, mówiono, że największą zaletą Łodzi jest to, że bez względu na to dokąd się wyjeżdża zawsze się człowiek cieszy. Ja wróciłam do Warszawy na ostatni przedwojenny sezon teatralny 1938-39.

130 lat gazety „Lodzer Zeitung”

Pierwsze, nieudane próby wydawania polskiego pisma w Łodzi podejmowano już w latach 1860-1862. Jednak dopiero wprowadzenie stanu wojennego w mieście, podczas powstania styczniowego (1863-1864), stworzyło sytuację sprzyjającą edycji gazety. W związku z koniecznością ogłaszania licznych zarządzeń represyjnych władz wojskowych i policyjnych, wystąpiła potrzeba szybkiego ich rozpowszechniania i dotarcia z informacjami do jak największej grupy ludności - takie możliwości stwarzała gazeta.

Zezwolenie na wydawanie polsko-niemieckiej gazety „Łódzkie Ogłoszenia - Łodzer Anzeiger” otrzymał drukarz łódzki Jan Petersilge, będący z pochodzenia Niemcem skoligaconym z Rosjanami, lojalnym wobec władz carskich, właściciel zakładu litograficznego.

Nowa gazeta, o charakterze lokalnej gazety policyjnej, zaczęła ukazywać się od 2.12.1863 r. dwa razy w tygodniu, w niewielkim formacie, w objętości 4 stron i nakładzie 300 egzemplarzy. Drukowano ją techniką typograficzną na ręcznej prasie drukarskiej w nowo powstałej drukarni Jana Petersilgo przy ul. Konstancyńskiej 327 (obecnie - ul. Obrońców Stalingradu 5). Jej redakcja i ekspedycja znajdowała się w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 279 (obecnie - nr 11).

Zamieszczane były w niej ogłoszenia i przepisy porządkowe miejscowych władz, zarządzenia skierowane przeciw ruchom wywoleńczym oraz ogłoszenia handlowe, przemysłowe i prywatne.

Pismo uzyskało poparcie władz miejskich oraz przemysłowców i kupców łódzkich, którzy zebrali fundusz na zakup odpowiedniej prasy drukarskiej i czcionek. W celu zapewnienia gazecie zbytu, wła-

dze rosyjskie wprowadziły obowiązkową subskrypcję dla właścicieli nieruchomości i zajazdów oraz kupców i przemysłowców. Wkrótce jednak nakaz abonowania zaczęto lekceważyć i wydawnictwo zaczęło zmierzać ku upadkowi.

W 1865 r. nastąpiła całkowita reorganizacja pisma i zmiana tytułu gazety na „Lodzer Zeitung - Gazeta Łódzka”, jednocześnie zwiększono jej częstotliwość wydawania na trzy edycje w tygodniu. Redakcję i ekspedycję pisma przeniesiono do posesji przy ul. Konstancyńskiej 327.

Jan Petersilge, dbając o rentowność przedsięwzięcia, zwrócił się z prośbą do Rady Miejskiej o stałą subwencję lub wznowienie przymusowej prenumeraty. Do prośby tej odniesiono się przychylnie, załatwiając u naczelnika wojennego zgodę na wprowadzenie obowiązkowej prenumeraty przez zamniejszych obywateli. Jednocześnie polecono wprowadzenie do gazety ciekawszej, bardziej zróżnicowanej tematyki, artykułów dotyczących nowości technicznych w przemyśle oraz zagadnień handlowych i beletrystyki.

Uwzględniając to, Jan Petersilge rozszerzył część niemiecką o przedruki artykułów politycznych z gazet warszawskich (m.in. z polskiego „Dziennika Warszawskiego” i rosyjskiego „Warszawskiego Dniwnika”) oraz o felietony techniczno-przemysłowe z pism pruskich, natomiast w części polskiej, redagowanej przez Franciszka Rybkę, pojawiły się niewielkie artykuły polskie o różnej tematyce.

W lutym 1867 r. gubernator piotrkowski zniósł obowiązek przymusowej prenumeraty i odtąd redakcja sama musiała zadbać o dystrybucję gazety.

W początkach 1870 r. przeniesiono redakcję i ekspedycję gazety bliżej centrum miasta do posesji przy ul. Piotrkowskiej 275 (obecnie - nr 17), a w czerwcu przeniesiono tutaj drukarnię.

Dużym postępem technicznym było sprowadzenie przez Jana Petersilgo w 1877 r. do Łodzi pierwszej cylindrowej maszyny drukarskiej, mającej kilkakrotnie większą wydajność niż prasa ręczna.

W celu zdobycia czytelników polskich w 1880 r. wprowadzono do „Lodzer Zeitung” stały dział polski pt. „Kronika”, przekształcony w kwietniu 1881 r. w samodzielny dodatek tygodniowy pod nazwą „Gazeta Łódzka”, redagowany przez prawnika Wiktora Piątkowskiego. Dodatek ten zawierał między innymi artykuły dotyczące przemysłu i handlu, utwory beletrystyczne i miejscową kronikę.

Do czerwca 1881 r. ukazało się 10 numerów „Gazety Łódzkiej”. Ostatni numer wyszedł z datą 4.06, przy kolejnym wydaniu nr 63 „Lodzer Zeitung”, kiedy to zawieszono dodatek z powodu trudności finansowych.

„Lodzer Zeitung” od tej chwili stał się pismem wyłącznie niemieckojęzycznym, ukazującym się w prawie niezmienionej formie do 1915 r.



JAN PETERSILGE (1830-1905) - ZAŁOŻYCIEL PIERWSZEJ DRUKARNI TYPOGRAFICZNEJ W ŁODZI I TWÓRCA ROZBUDOWANYCH ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH W TYM MIEŚCIE

fort. E. Szkudlarek

W 1881 r. przeprowadzono ponowną reorganizację zakładu. Redakcja i ekspedycja została przeniesiona do lokalu przy ul. Piotrkowskiej 255 (obecnie - nr 18) - naprzeciwko drukarni Jana Petersilgo, którą powiększono o opuszczone pomieszczenia redakcyjne. Zmieniono częstotliwość wydawania gazety na 6 razy w tygodniu, powiększono format oraz jej nakład, sięgający wówczas 500 egzemplarzy.

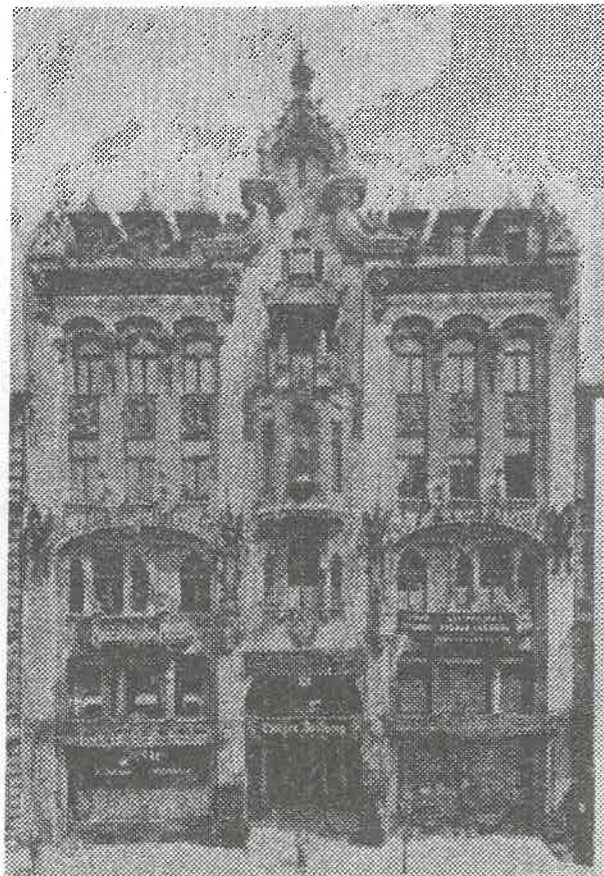
Pożar zakładu drukarsko-litograficznego Jana Petersilgo (13.06.1885 r.) zniszczył prawie całkowicie jego wyposażenie techniczne. Wówczas to zaczęto drukować chwilowo gazetę „Lodzer Zeitung” czcionkami alfabetu łacińskiego w drukarni „Dziennika Łódzkiego” przy ul. Cegielnianej 271 b (obecnie ul. Więckowskiego 8), a od lipca tegoż roku w drukarni „Dziennika Łódzkiego”, przeniesionej do posesji Hotelu Hamburgskiego przy ul. Piotrkowskiej 275 (obecnie - nr 17).

Wkrótce, dzięki pożyczce Karola Scheiblera i Towarzystwa Kredytowego m. Łodzi, zakłady zostały reaktywowane w pomieszczeniach nabytych od małżeństwa Micińskich. W latach 1885-1886 sprowadzono do nich nowe maszyny, urządzenia, regały z kasetami i czcionkami z Warszawy i Lipska.

Lodzer Zeitung.

Morgen-Ausgabe.





GMACH PRZY UL. PIOTRKOWSKIEJ 86, W KTÓRYM W L. 1897-1915 MIEŚCIŁY SIĘ ZAKŁADY J. PETERSILGEGO (STAN Z 1913 R.)

fol. E. Szkudlarek

W szybkim czasie wznowiono drukowanie gazety „Lodzer Zeitung”. Następne lata przyniosły dalszą rozbudowę i rozwój zakładów. W tym czasie nakład gazety wzrósł do ponad 2.000 egzemplarzy.

W 1892 r. zakłady Jana Petersilgego były największym i najlepiej wyposażonym technicznie zakładem drukarsko-litograficznym w Łodzi, przejawiającym dalsze tendencje rozwojowe.

Chcąc skoncentrować całe przedsiębiorstwo składające się z drukarni, litografii, wydawnictwa gazety i hurtowego składu papieru, Jan Petersilge w 1893 r. nabył budynki pofabryczne przy ul. Piotrkowskiej 86. Po ich rozbudowie przeniósł tutaj w rok później całe zakłady wraz z redakcją „Lodzer Zeitung”.

Lata następne przyniosły dalszy rozwój zakładów. W 1902 r. Jan Petersilge sprowadził do Łodzi pierwszą w tym mieście maszynę rotacyjną, przeznaczoną do druku „Lodzer Zeitung”, zapoczątkując tym samym przewrót techniczny w łódzkim drukarstwie gazetowym.

Od 1904 r. gazeta zaczęła ukazywać się dwa razy dziennie, w nakładzie około 6.000 egzemplarzy, ponadto zaczęto umieszczać w niej tygodniowe do-

datki ilustrowane i tekstowe o treści popularnonaukowej.

Po śmierci założyciela firmy - Jana Petersilgego (22.02.1905 r.) przedsiębiorstwo zostało przejęte przez rodzinę, która podjęła kontynuację działań.

W latach rewolucji 1905-1907 w gazecie pojawiły się tendencje liberalno-postępowe. Jednakże artykuły krytykujące ustrój państwa, nawołujące do niepłacenia podatków itp., nie spotkały się z uznaniem czytelników, których znaczna część składała się z Niemców, nie chcących liberalizmu gazety. Zachowano więc dawną jej formę, ograniczając się do omawiania problemów przemysłowo-handlowych i bieżących wydarzeń lokalnych.

W 1910 r. nastąpił podział przedsiębiorstwa między sukcesorów Jana Petersilgego. Wyodrębniona drukarnia gazetowa pozostała na dotychczasowym miejscu, przyjmując nazwę „Drukarnia Lodzer Zeitung”. Jej właścicielami oraz redaktorami głównymi zostali Włodzimierz i jego siostra Nadzieja Petersilgowie. Działalność zakładów ograniczono do codziennego drukowania dwóch wydań gazety, ilustrowanego dodatku niedzielnego oraz kilku innych dodatków w objętości wychodzącej gazety, w określone dni tygodnia lub miesiąca.

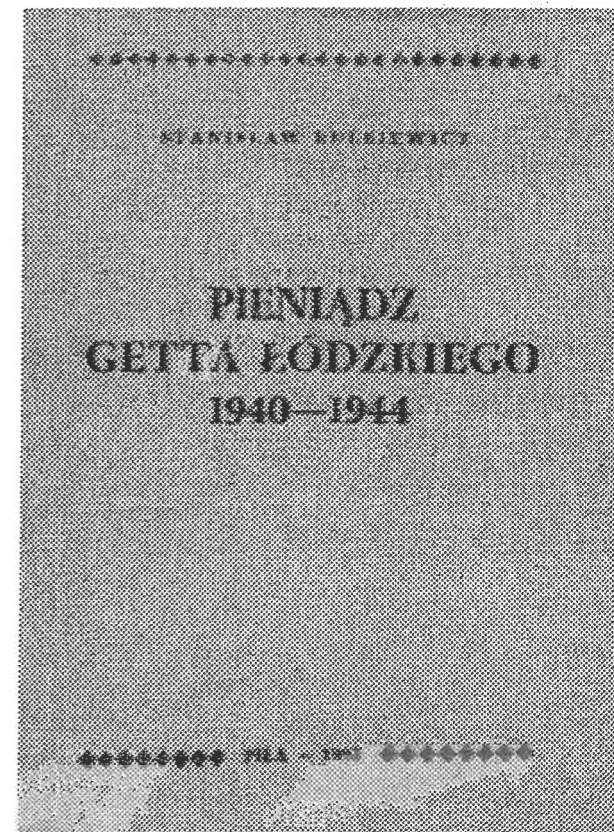
Jubileusz 50-lecia „Lodzer Zeitung” - 1913 r. - obchodzono bardzo uroczysto. Wydana została 220-stronicowa monografia w języku niemieckim: Jubiläumsschrift der „Lodzer Zeitung” - 1863-1913, zawierająca dokładną historię gazety, teksty dotyczące historii Łodzi i okolicznych miast oraz artykuły dotyczące miejscowego przemysłu i handlu, twórczości artystycznej, działalności stowarzyszeń, poruszające sprawy kościołów różnych wyznań, a także 196 ogłoszeń firm miejscowych i innych. Całość wzbogacona została licznymi ilustracjami, a o wysoki poziom druku tego wydawnictwa zadbały „Artystyczne Zakłady Ed. Strecke” w Warensdorf (Bruszwik).

Po wybuchu I wojny światowej, w zajętej przez wojska niemieckie Łodzi, okupant wprowadził rygor w stosunku do miejscowej prasy, tworząc przy Wojskowym Gubernatorstwie Łódzkim - Wydział Prasowy - Pressverwaltung. Wiele pism zawieszono lub zlikwidowano, a ze sprzętu zarekwirowanego w łódzkich drukarniach władze okupacyjne zorganizowały dla własnych celów Niemiecką Drukarnię Państwową - Deutsche Staatsdruckerei. Zawieszono również działalność drukarni „Lodzer Zeitung” jako zbyt rusofilskiej, redaktora Włodzimierza Petersilgego aresztowano, a jej urządzenia przejęto dla potrzeb nowej gazety - „Godziny Polskiej”. Tym samym 6.12.1914 r. przestała istnieć najstarsza w Łodzi oficyna drukarska rodziny Petersilgów, należąca do najnowocześniejszych miejscowych zakładów graficznych przełomu XIX i XX wieku.

ANNA PILARSKA

„RUMKI” pieniądz getta łódzkiego

W czasie okupacji hitlerowskiej w Łodzi - przemianowanej na Litzmanstadt, istniało getto żydowskie, największe po warszawskim, liczące w początkowej fazie ponad 160.000 osób. Było to swoiste „państwo w państwie”, z własną administracją, policją, sądem, więzieniem oraz zakładami pracy, szkołami, szpitalami, pocztą itp. W tym „quasi” państwie (a właściwie wielkim obozie pracy) kursował też jedyny (w przedwojennych granicach Polski) liczący się żydowski pieniądz. Jego historię powstania, kursowania i skutków z tego wynikających opisał znany łódzki kolekcjoner - Stanisław Bulkiewicz - pracownik Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Historii Miasta Łodzi, obchodzący w br. kilka rocznic: 65-lecie urodzin, 50-lecie kolekcjonerstwa numizmatycznego, 20-lecie redagowania w „Expressie Ilustrowanym” kącika kolekcjonerskiego „Bazar Zbieraczy” oraz 10-lecie założenia i prowadzenia Gabinetu Numizmatycznego w MHML. W wydanej własnym sumptem w niewielkim nakładzie broszurce autor zamieścił wyniki swoich długoletnich badań, poszukiwań i kwerendy archiwalnej. Oprócz dokładnych danych katalogowych zarówno pieniądza papierowego, jak i metalowego, są tam również wiadomości o fałszerstwach tego pieniądza, popełnionych w getcie oraz już w czasach powojennych. Jest też tam wiele ciekawostek dotąd nieznanych szerszemu ogółowi. Również cała historia tego pieniądza pisana niejako od kuchni. Całość uzupełniona zdjęciami, rysunkami monet i bonów, odbitkami plakatów i pism archiwalnych, świetnie uzupełniających się z tekstem. Praca przeznaczona nie tylko dla kolekcjonerów, ale również dla muzeów oraz osób interesujących się historią. Dlatego też została przychylnie przyjęta w całym kraju. Również próbne okazy wysłane do Izraela i Niemiec potwierdziły tę opinię. Jako ciekawostkę można podać fakt, że pewien znany niemiecki kolekcjoner zainteresowany tym tematem kazał ją przetłumaczyć dla siebie, płacąc 1.200 marek czyli...



repr. E. Szkudlarek

12.000.000 złotych. Jedyny jej mankament to to, że praca ta została wydana metodą ksero i dlatego zarówno druk, jak i w znacznej mierze fotografie dużo pozostawiają do życzenia. Wypada więc życzyć autorowi, by znalazł odpowiedniego sponsora, który by wydał mu tę pracę drukiem, aby zyskała na przejrzystości i estetyce.

Stanisław Bulkiewicz - „Pieniądz getta łódzkiego 1940-1944”. 1993. Str. 60, wiele fotografii i rysunków.

Towarzystwo Kredytowe miasta Łodzi

Ulica Pomorska (pierwotnie Średnia) w drugiej połowie XIX wieku utraciła znaczenie głównej arterii przecinającej równoleżnikowo miasto. Po 1840 roku jej rolę zaczęła przejmować ulica Główna, która wkrótce połączyła Łódź ze stacją kolejową w Rokicinach. Po wybudowaniu dworca Kolei Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej (1866 r.) centrum miasta przesunęło się na południe, gdzie zaczęło się skupiać życie handlowe i gdzie sytuowano najważniejsze instytucje publiczne. Jednak wbrew tym tendencjom dwie wiodące w Łodzi instytucje finansowe - Bank Handlowy i Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi na kilka dziesięcioleci znalazły swoje locum właśnie przy ulicy Pomorskiej.

Idea utworzenia towarzystwa udzielającego kredytu pod zastaw nieruchomości narodziła się w Łodzi w 1870 roku. Znany i powszechnie szanowany obywatel, były prezydent miasta Andrzej Rosicki, zainteresował tym przedsięwzięciem przedstawicieli miejscowej burżuazji. W ciągu kilku dni zawarto wstępne porozumienie o podjęciu starań dla powołania instytucji działającej na wzór towarzystwa kredytowego w Warszawie. Komitet założycielski tworzyli: Karol Scheibler, Traugott Grohmann, Józef Paszkiewicz, Jakób Peters, Ferdynand Szlimm, Maksymilian Leinveber, Henryk Schlösser, Karol Gehlig, Herman Konstadt, Marcin Łaski, Wilhelm Ginsberg i Rafał Sachs - przemysłowcy i kupcy, właściciele domów w Łodzi.



TOWARZYSTWO KREDYTOWE M. ŁODZI

fot. E. Szkudlarek

Rosicki przyjął propozycję ułożenia statutu towarzystwa pod warunkiem otrzymania dokładnych danych o liczbie ludności, ilości budynków i o wysokości składek ubezpieczeniowych od ognia. Po przestudiowaniu statutu warszawskiego i przystosowaniu go do warunków łódzkich projekt ustawy skierowano na drogę urzędową, która bez mała trwała dwa lata. Komitet założycielski 12 lipca 1870 roku wystosował pisma do magistratu łódzkiego i namiestnika Królestwa Polskiego hrabiego Berga, motywując swoje zamierzenia: „... z «Gońca» urzędowego otrzymujemy dość często wiadomości o Najwyższym zatwierdzeniu dla miast instytucji kredytowych, a ostatnio dla miasta Kazania udzielonego - miasto Łódź z d. 19/31 grudnia 1866 r. zrównane w prawach z miastami gubernialnymi, pragnie również pozyskać instytucję kredytową dla siebie taką samą jak miasto Warszawa otrzymało - i ogół właściciele domów m. Łodzi naleganiami swymi skłonił nas do tego, że przyjęliśmy na siebie obowiązek założycieli rzeczonyj instytucji...”

Rozpoczęła się długotrwała wędrówka statutu po kolejnych szczeblach urzędniczych rozbudowanej administracji carskiej, wspierana osobistymi interwencjami u znanych osobistości w Petersburgu prowadzonymi przez A. Rosickiego. Zwłokę tłumaczono natłokiem złożonych projektów ustaw towarzystw akcyjnych i kredytowych (wszystkie musiały być zatwierdzone przez cara), były też i inne przy-

czyny, np. trwająca od połowy maja do połowy września (sic!) przerwa wakacyjna członków Rady Państwa. Dopiero 25 marca 1872 roku Rada zatwierdziła projekt i przesłała go do sankcji najwyższej. W tym czasie jednak car był bardzo zajęty, bowiem odbywał spowiedź „mocno zaambarasowany słabością carycy” i dopiero kiedy para cesarska udała się na spoczynek do Liwadii na Krymie, 17 kwietnia 1872 roku ustawa została zatwierdzona.

W pierwszym okresie swojej działalności Towarzystwo Kredytowe miasta Łodzi korzystało z pomieszczeń dzierżawionych, adaptowanych na potrzeby instytucji. Przez ponad rok wynajmowano lokal przy ul. Zgierskiej 147, od 3 czerwca 1873 roku pomieszczenia na biuro udostępnił nieodpłatnie K. Scheibler w swojej willi przy ul. Pomorskiej 16. Obiekt wzniesiony w latach 60. XIX w., oddzielony od hałaśliwej ulicy ogrodem, stał się później siedzibą Banku Handlowego w Łodzi.

Dopiero w 1875 roku postanowiono zakupić plac dogodny do wzniesienia budynku odpowiadającego wszelkim wymaganiom stawianym tego typu instytucjom, jak bowiem stwierdzono „lokale wynajmowane w domach prywatnych na pomieszczenie biur i kassy, oprócz rozmaitych niedogodności, nie zapewniają dostatecznego bezpieczeństwa”. Szukano odpowiedniej parceli w północnej części miasta na przestrzeni od ulicy Pomorskiej do Jarczaka (Cegielnianej), zapewne mając na uwadze bliskość magistratu. W styczniu 1876 roku towarzystwo zakupiło nieruchomość usytuowaną niemal naprzeciw dotychczasowej siedziby - przy ul. Pomorskiej 17. Nie był to dobry wybór, bowiem nieruchomość owa miała nieuregulowane stosunki własnościowe, a ponadto mieściła się tam łódzka poczthalteria z biurem, mieszkaniem poczthaltera i stajniami dla koni pocztowych. Trudności z wyeksmitowa-

niem mieszkańców posesji zmusiły towarzystwo do zakupu innej parceli, bezpośrednio z nią sąsiadującej (ul. Pomorska 19).

W grudniu 1877 roku zapadła decyzja władz towarzystwa o sporządzeniu projektu nowego obiektu. Pierwsze szkice projektowe wykonał członek dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Fryderyk Sellin, które po akceptacji zarządu przedstawiono architektowi miejskiemu Hilaremu Majewskiemu. Ostateczny projekt budynku był gotowy w styczniu 1878 roku i uwzględniał on propozycje Sellina, zarówno w zakresie układu zewnętrznego (dwa wysunięte skrzydła połączone głównym korpusem), jak i rozmieszczenia lokali (mieszkanie dyrektora, sala posiedzeń zebrania ogólnego, biura, pomieszczenia kasowe). Gmach Towarzystwa Kredytowego m. Łodzi, zbudowany sposobem administracyjnym, oddany został do użytku w 1881 roku. Zaprojektowany w stylu neorenesansowym budynek towarzystwa był jednym z najbardziej reprezentacyjnych gmachów w Łodzi i pierwszym w mieście obiektem spełniającym specyficzne wymogi instytucji finansowej. W budynku mieściły się także pomieszczenia Łódzkiego Wydziału Hipotecznego, które w 1910 roku przeniesiono do osobnego gmachu, wzniesionego w głębi posesji.

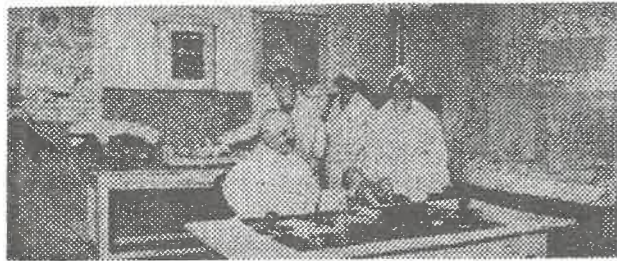
Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi odegrało na przełomie XIX i XX wieku ogromnie ważną, trudną do przecenienia, rolę w dziedzinie rozwoju budownictwa, zwłaszcza mieszkalnego, a w niemałym stopniu również budownictwa przemysłowego. Długi żywot instytucji zakończył się z chwilą wybuchu II wojny światowej, a obecnie w zniszczonym, grożącym zawaleniem budynku towarzystwa przy ul. Pomorskiej mieści się Instytut Stomatologii Akademii Medycznej w Łodzi.

GRAŻYNA KOBOJEK

Łódzkie Towarzystwo Opieki nad Dzieckiem „Kropla Mleka” w latach 1904-1939

W przyszłym roku minie 90 lat od narodzin cennej inicjatywy społecznej w Łodzi, zmierzającej do utworzenia Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem „Kropla Mleka”. Z tej okazji warto przypomnieć znaczenie tej dobroczynnej instytucji dla dzieci naszego miasta. Instytucji, która powstała i działała w mieście pozbawionym wodociągów i kanalizacji, w obliczu pogarszających się stale sanitarno-zdrowotnych warunków bytowych mieszkańców Łodzi.

Według znanego polskiego pediatry okresu międzywojennego - dra Władysława Schenajcha, główną przyczyną wysokiej śmiertelności dzieci oraz ich skłonności do zapadania na choroby zakaźne było przebywanie w pozbawionych urządzeń sanitarnych, przeludnionych mieszkaniach. I tak np. w 1903 r. na ogólną liczbę 4656 zgonów w Łodzi przypadło 1112 zgonów niemowląt, co stanowiło 22% tej liczby. W latach 1904 - 1910 odsetek dzieci



PRZYCHODNIA I „KROPLI MLEKA” PRZY UL. PIOTRKOWSKIEJ 103

fot. E. Szkudlarek

zmarłych między 1 a 5 rokiem życia wynosił od 16,4 do 20,09%, przy przeciętnej rocznej - 18,5%.

W warunkach, kiedy ówczesne władze administracji państwowej uważały stan zdrowia za prywatną sprawę obywatela i nie robiły praktycznie nic dla poprawy stanu sanitarnego miasta i stanu zdrowotnego jego mieszkańców, na uwagę zasługuje działalność łódzkich lekarzy-społeczników.

Skupieni w powstałym w 1886 r. Łódzkim Towarzystwie Lekarskim oraz od 1897 r. w Łódzkim Komitecie Higieniczno-Sanitarnym (w 1901 r. przekształconym w Oddział Łódzki Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego) podjęli oni zagadnienia profilaktyki oraz organizacyjnego rozwoju placówek lecznictwa otwartego i zamkniętego w mieście. Środki na cele opieki zdrowotnej czerpali głównie od istniejących w owym czasie towarzystw dobroczynnych i z przeprowadzanych akcji filantropijnych.

Dużą rolę w zakresie poprawy warunków bytowych oraz zdrowia dzieci łódzkich odegrał lekarz Jan Wiśłocki, który w 1891 r. zorganizował w Cieclocinku dla dzieci z rodzin robotniczych pierwsze kolonie letnie.

Dopiero w kilka lat później ideę ochrony zdrowia dziecka podjęto utworzone w 1904 r. Towarzystwo Opieki nad Dzieckiem „Kropla Mleka”, działające do 1918 r. jako sekcja Łódzkiego Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego, potem jako odrębna instytucja.

Swoje powstanie „Kropla Mleka” zawdzięczała inicjatywie łódzkich lekarzy: Stanisława Serkowskiego, Józefa Maybauma-Marzyńskiego oraz Józefa Brudzińskiego. Jej fundatorem i wieloletnim prezesem została żona jednego z nich - Stefania Marzyńska.

Głównym celem towarzystwa stała się walka z zaskarżającą śmiertelnością niemowląt. Ta o charakterze ogólnospołecznym instytucja miała udzielać pomocy wszystkim dzieciom bez względu na ich wyznanie, narodowość, stan majątkowy.

Hasło walki z umieralnością niemowląt zrodziło się we Francji, tam też powstało najwięcej organizacji dążących do ochrony zdrowia i życia dzieci. Powoli idea ta zaczęła rozszerzać się i na inne kraje Europy Zachodniej, skąd dotarła do Polski.

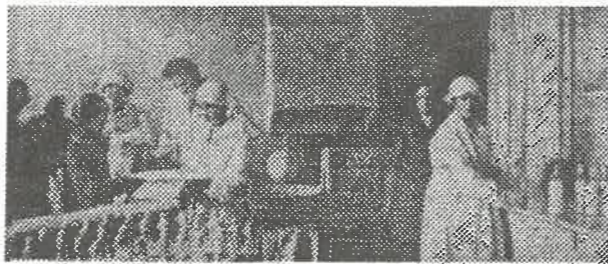
Nazwę i wzory organizacyjne „Kropli Mleka” zaczerpnięto z Fécamp i Paryża, gdzie w 1892 r. przy klinice położniczej „Charité” profesora Budina utworzono stacje „Consultations de nourrissons” oraz w 1894 r. „Goutte de Lait”, które miały za zadanie bezpłatne nauczanie rodziców w zakresie pielęgnowania i leczenia chorych dzieci oraz dostarczanie dla niemowląt pasteryzowanego mleka i specjalnych mieszanek. Podobne instytucje zaczęły powstawać przy innych klinikach położniczych w Paryżu oraz przy szpitalach dziecięcych we Francji i w Niemczech, co w dużym stopniu wpłynęło na zmniejszenie śmiertelności wśród dzieci będących pod stałą kontrolą. W Anglii w tym czasie dostarczaniem taniego i zdrowego mleka dla dzieci zajmowało się Towarzystwo Świętej Heleny.

Łódzka „Kropla Mleka” była pierwszą tego typu instytucją na ziemiach polskich, powstała z funduszy filantropijnych, której działalność oparto na zasadach samowystarczalności finansowej i samopomocy społecznej.

Głównym jej zadaniem było dostarczanie niemowlętom zdrowego pokarmu oraz walka z nieracjonalnymi, szkodliwymi dla zdrowia i życia dzieci, przestarzałymi metodami odżywiania i wychowania. Tym samym przejęła ona funkcję pierwszej w kraju szkoły higieny wieku dziecięcego.

W początkowej, organizacyjnej fazie działalność „Kropli Mleka” skupiała się na rozdawnictwie badanego bakteriologicznie mleka dla niemowląt, których matki nie mogły same karmić. Za wydawane porcje mleka pobierano należność nieco wyższą od kosztów własnych, bez wliczania wydatków na utrzymanie administracji i pomocy lekarskiej. W przypadkach skrajnej nędzy kobiety otrzymywały mieszanki bezpłatnie. Wydatki te wyrównywane były przez opłaty pobierane za mleko oraz dobrowolne datki.

Przez pierwsze lata korzystano z mleka przywożonego z majątku Widzew pod Pabianicami, pochodzącego od krów znajdujących się pod stałą kontrolą weterynaryjną, a jego rozdawnictwo odbywało się w aptekach miejskich. Potem dystrybucję mleka ograniczono do dwóch punktów przy Mleczarni



PRZYCHODNIA V „KROPLI MLEKA” PRZY UL. SUCHEJ 2

fot. E. Szkudlarek

Ziemiańskiej (ul. Piotrkowska 131) i w Ochronce przy fabryce Geyera. Ilość wydawanego mleka zmieniała się w zależności od sytuacji finansowej Towarzystwa. W pierwszych latach działalności przeciętnie korzystało z mleka latem 200 do 250 dzieci dziennie, zimą - 40 do 50 dzieci.

Ponieważ system wydawania mleka bez opieki lekarskiej był mało skuteczny, postanowiono zmienić typ instytucji i zbliżyć ją bardziej do pierwowzoru Budina, stworzyć poza rozdawnictwem mleka szkołę dla matek - placówkę do propagowania zasad higieny wieku niemowlęcego.

W maju 1906 r. utworzona została Przychodnia, w której dr Tadeusz Mogilnicki badał dzieci, orzekając o sposobie odżywiania dziecka, zwracając jednocześnie uwagę na ich czystość i udzielając matce lekcji zasad higieny. Dzieci chore odsyłano do Szpitala Anny Marii lub do Ambulatorium Szpitala im. Małżeństwa Poznańskich.

W styczniu 1911 r. „Kropla Mleka” przerwała chwilowo rozdawnictwo mleka. Złożyły się na to takie czynniki, jak nieodpowiednia jakość mleka, a także błędy w organizacji rozdawnictwa (sposób jego przechowywania i transportu). Zawieszając akcję wydawania mleka, podjęto starania o uzyskanie odpowiedniej jego jakości.

Przy szpitalach Anny Marii i im. Małżeństwa Poznańskich, pod kierunkiem lekarzy Tadeusza Mogilnickiego i Zdzisława Prechnera, stworzono stacje porad dla matek bez rozdawnictwa mleka. Istniały one jednak tylko przez jeden sezon, bowiem w praktyce nie sprawdziły się. Matki zgłaszały się prawie wyłącznie z dziećmi chorymi, kiedy następowała poprawa, przestawały stosować rady. Nieliczne tylko matki zgłaszały się o poradę w zakresie odżywiania. Ponownie więc postarano się o przywrócenie rozdawnictwa mleka.

W 1912 r. zawarto porozumienie z dominium „Przatów” pod Łaskiem, którego właściciel zobowiązał się do urządzenia w pobliżu swojej wzorcowo prowadzonej obory aparatu sterylizacyjnego i dostarczania do Łodzi mleka sterylizowanego w butelkach pół- i jednolitrowych. Naśladując rozdawnictwo mleka w Paryżu, gdzie wydawano mleko sterylizowane w półlitrowych butelkach, postanowiono wydawać tylko mleko całkowite, a nie jednorazowe porcje i różne mieszanki.

W lipcu 1912 r. wznowiono rozdawnictwo mleka. Chcąc pomóc przede wszystkim niemowlętom z rodzin robotniczych, zorganizowano przyjęcie w stacji po godzinach pracy. Wśród małych pacjentów przeważały w tym czasie dzieci żydowskie, robotnicy wyznania katolickiego zwracali mniejszą uwagę na wyżywienie dzieci.

Przy fabryce Allart, Rousseau et Cie utworzono żłobek przeznaczony dla niemowląt karmionych piersią, jednak z powodu braku zainteresowania musiano go zamknąć.



PRZYCHODNIA VI „KROPLI MLEKA” PRZY UL. KIELMA 17

fot. E. Szkudlarek

W pierwszym dziesięcioleciu swojej działalności „Kropla Mleka” brała fundusze ze składek, ofiar, dochodów z zabaw i widowisk oraz odsetek od kapitału żelaznego 1000 rubli z legatu Anieli z Maybaumów i Haliny Szyffer.

W tym czasie „Kropla Mleka” uczestniczyła w wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej we Lwowie, gdzie w 1907 r. otrzymała dyplom honorowy oraz w wystawie „Dziecko” w Wilnie w 1907 r. i w wystawie higienicznej w Częstochowie w 1909 r., gdzie przyznano jej dwa złote medale.

W następnych latach planowano rozszerzenie działalności instytucji. W 1914 r. liczba korzystających z porad lekarskich dzieci oraz ilość wydawanego mleka znacznie się zwiększyła. Powstało nowe rozdawnictwo na Bałutach.

Jednak z chwilą wybuchu I wojny światowej dalsze plany rozwojowe „Kropli Mleka” uległy zahamowaniu. Wraz z gwałtownie pogarszającymi się warunkami bytowymi, również i stan finansów tej organizacji znacznie podupadł. W tych warunkach pierwszą „wojenną” zapomogę udzielił „Kropli Mleka” miejscowy Komitet Obywatelski. Zrezygnowano z rozdawnictwa za drogiego mleka wyjąłowego, na rzecz mleka surowego, mleko wyjąłowe wydając tylko w przypadkach szczególnych. Rozdawnictwo odbywało się w trzech punktach: w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 103 wydawano płatne, po cenie niższej, mleko wyjąłowe, przy ul. Placowej 7 i Zgierskiej 15 wydawano bezpłatne mleko w części wyjąłowe, a w części surowe pełne. Podczas walk pod Łodzią, kiedy ustał dowóz mleka, rozdawano bezpłatnie kaszę i cukier. We wrześniu 1914 r. zorganizowano odrębną kuchnię (ul. Piotrkowska 175) dla dzieci starszych, z której wydawano zupę z chlebem.

Pod koniec maja 1915 r., po zapewnieniu sobie stałej dostawy mleka, ponownie zaczęto wydawać mleko. Jednocześnie podjęto starania o zdobycie mleka skondensowanego, odwołując się do pomocy organizacji międzynarodowych.

Dzięki inicjatywie Henryka Sienkiewicza i mec. Antoniego Osuchowskiego, Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce z siedzibą w Vevey (Szwajcaria) przekazał w lipcu 1915 r. łódzkiej „Kropli Mle-

ka" wagon skondensowanego mleka oraz transporty mączki odżywczej Nestle'a.

Do akcji pomocy żywnościowej i odzieżowej prowadzonej przez „Kroplę Mleka” włączył się również Główny Komitet Obywatelski z Warszawy oraz Poznański Komitet Pomocy Biednym, a także Centralny Komitet Ratunkowy Niemiec.

Oprócz kaszy, mleka świeżego i skondensowanego oraz mączki Nestle'a, zaczęto wydawać matkom również mydło.

Od czerwca 1916 r. mleko rozdawane było w lokalu głównym przy ul. Piotrkowskiej 103 oraz w filli przy ul. Zgierskiej 15. W lokalu przy ul. Piotrkowskiej 175 działała kuchnia dla dzieci starszych.

W tym czasie objęto opieką matki w okresie przedporodowym. Z inicjatywy „Kropki Mleka” ponownie otwarto w 1915 r. przytułek dla rodzających (ul. Franciszkańska 58) oraz zwiększono ilość miejsc w innym przytułku (ul. Dzielna 52). Towarzystwo zajęło się też sprawą zaopatrzenia dzieci w ciepłe ubrania.

Pod koniec 1915 r. społeczeństwo łódzkie, wykazując znaczne zainteresowanie działalnością „Kropki Mleka”, postanowiło otworzyć jej filie w rejonie Górnego Rynku oraz zwrócić się z prośbą do znanego działacza społecznego - księdza Albrechta i do Marii Grzybowskiej o pozyskanie mleka i funduszy dla rozszerzenia akcji pomocy.

Rozszerzono działalność „Kropki Mleka” przez utworzenie kilku nowych punktów rozdawnictwa mleka: przy ul. Zgierskiej 130, przy ul. Rokicińskiej oraz przy ul. Rybnej 10. Do połowy kwietnia 1916 r. wydawano również obiady, potem jednak musiało zlikwidować kuchnię.

W maju 1916 r. z inicjatywy Komisji Międzyzwiązkowej Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich urządzono kuchnię kleikową dla dzieci, co spotkało się z poparciem „Kropki Mleka”. Jesienią tego roku fundacja Rockefellera ofiarowała Łodzi 15 ton mleka miesięcznie. Jednocześnie utworzony pod Zarządem Głównej Rady Opiekuńczej Komitet Rockefellerowski wyznaczył dla „Kropki” 300 skrzynek mleka, co stanowiło 14.000 puszek miesięcznie i wystarczało dla przeszło 2.000 dzieci.

W tym czasie wszystkie rozdawnictwa znajdowały się pod stałą opieką lekarską. Prowadzono porady w zakresie odżywiania i higieny dziecka oraz częste badania chemiczno-bakteriologiczne mleka krowiego.

Lata 1917-1918 przyniosły dalsze pogorszenie warunków bytowych. W tej sytuacji zadbane o stworzenie możliwości przetrwania jak największej grupie dzieci. Prowadzono nadal rozdawnictwo mleka świeżego i skondensowanego, mączki Nestle'a, fosfatyny oraz bonów na kleiki i obiadów dla matek z Tanich Kuchni i kuchni własnych.

Pomoc amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom pozwoliła na udzielenie zapomóg pienięż-

nych i materialnych oraz remont lokali rozdawnictwa. Poparcia łódzkiej organizacji udzieliły również Towarzystwo „Society of Friends”, Wojewódzki Wydział Opieki Społecznej, Wojewódzki Urząd Zdrowia oraz Samorząd Miejski. Działalność „Kropki Mleka” spotkała się z zainteresowaniem amerykańskiego Czerwonego Krzyża, który podjął akcję szkolenia personelu towarzystwa, sprawdzania warunków mieszkaniowych oraz udzielania matkom porad. Jednocześnie rodziny najbiedniejsze otrzymywały dla dzieci odzież z transportów amerykańskich.

W latach 1922-1926 „Kropla Mleka” uległa reorganizacji. Stopniowo zaczęto przechodzić od systemu filantropii i pomocy doraźnej do pracy programowej i racjonalnej gospodarki samowystarczalnej.

W 6 przychodniach udzielano porad oraz wydawano dla dzieci mleko. Prowadzono tutaj rejestrację niemowląt, ich badanie i wywiady o warunkach bytowych. Za niewielką opłatą matki mogły nabyć odzież, puder i mydło dla dzieci.

Jednocześnie z akcją rozdawnictwa mleka będącego pod stałą kontrolą Państwowego Urzędu Badania Żywności, prowadzona była akcja propagandowa w formie pogadanek oraz wydawania broszur i plakatów. Od 1924 r. roztoczono także opiekę nad kobietami karmiącymi i ciężarnymi przebywającymi w więzieniu.

W grudniu 1926 r. zatwierdzony został statut towarzystwa „Kropki Mleka”, określający cele i zadania tej instytucji. Działając zgodnie z jego założeniami, organizacja przetrwała do wybuchu II wojny światowej, odgrywając ważną rolę w dziedzinie poprawy stanu zdrowia niemowląt i dzieci łódzkich.

W latach powojennych „Kropla Mleka” wznowiła swoją działalność, kontynuując pracę w nowych, zmienionych warunkach.



fol. E. Szkudlarek

MIROSLAW ZBIGNIEW WOJALSKI

Tramwaje elektryczne w Łodzi ruszyły przed 95 laty

Poznając dzieje techniki na ziemiach polskich dowiemy się, że w 1898 roku, a więc przed 95 laty, w Łodzi ruszyły pierwsze w Królestwie Kongresowym tramwaje elektryczne, a w Warszawie jeszcze przez prawie dziesięć lat koniki ciągnęły tramwaje po szynach (w Łodzi nigdy tramwaje konne nie jeździły). Z tych samych źródeł dowiemy się, że elektrownia w Łodzi została wybudowana w roku 1907. Skąd więc tramwaje elektryczne?

Niezbyt przy tym istotne jest, że tramwaje do swego działania do dziś potrzebują zasilania prądem stałym, a ówczesne elektrownie wytwarzały, tak jak i dziś, prąd przemienny.

Pierwsze niewielkie prądnice wytwarzały prąd elektryczny dla własnych potrzeb oświetlenia np. w podziemiach Grand Hotelu już w 1887 roku, wtedy też oświetlono żarówkami elektrycznymi zarówno wystawy okolicznych sklepów, jak i ulicę przed Grand Hotelem.

Idąc tym śladem konsorcjum łódzkich przemysłowców, które otrzymało w 1897 roku koncesję na budowę i eksploatację łódzkich tramwajów, rozpoczęło przy ul. Tramwajowej budowę elektrowni tylko dla potrzeb przyszłych tramwajów elektrycznych. Budowa została ukończona w połowie grudnia 1898 roku i dopiero wtedy mogły ruszyć w próbne jazdy sprowadzone wcześniej wagony tramwajowe typu Herbrandt (nb. wagony te były eksploatowane jeszcze do 1971 roku, a jeden z nich, pieczołowicie wyremontowany, jeździ do dziś jako wagon muzealny tworzonego Muzeum Komunikacji Miejskiej, „grał” w kilku filmach). Wagony te miały niezbyt imponującą moc silnika 12 KM (ok. 10 kW), masę ok. 8 ton, długość 7,82 m, szerokość 2 m, a wysokość 3,25 m. Dodajmy, że w Łodzi od początku zastosowano tory o szerokości 1000 mm, czyli tzw. rozstaw szyn 1 m, typowy dla tzw. tramwajów czy kolei wąskotorowych i niewiele miast w Polsce miało ten rozstaw szyn. Większość (w tym Warszawa) zbudowała tory o szerokości jak w normalnej kolei, tzn. 1435 mm. Dlatego np. na teren Targów Poznańskich długo część eksponatów wjeżdżała torami tramwajowymi, podobnie część ładunków do Stoczni Gdańskiej (na własne oczy widziałem obydwa przypadki przed wieloma laty).

Tramwaje ruszyły 23 grudnia 1898 roku i w ciągu kilku dni przewiozły ćwierć miliona pasażerów (w niespełna półmilionowym mieście), a każdy z pasażerów zapłacił za przejazd albo 5 kopiejek - w II klasie albo 8 kopiejek - w I klasie. Początkowo bowiem wagony były podzielone na dwie klasy,

wagony silnikowe klasy drugiej miały drewniane ławki wzdłuż przeznaczonych dla 20 pasażerów i przewidziano 24 miejsca stojące, choć maksymalnie mieściły się w wagonie 94 osoby. Wagony doczepne były I klasy i miały ławki wyściełane, mniej też przewidziano w nich miejsc.

Tramwaje kursowały od godz. 7 rano do 11 w nocy. Najpierw uruchomiono ruch tramwajowy na odcinku od Placu Kościelnego poprzez Nowomiejską, Nowy Rynek, Piotrkowską do „Paradyżu” (Piotrkowska 175), ale wkrótce przedłużono do Górnego Rynku; czas jazdy od Placu Kościelnego do Górnego Rynku trwał 30 minut, jeździło na tej linii 13 wagonów silnikowych II klasy i 8 przyczepnych I klasy, w niedzielę ilość przyczepek zwiększano do 13. W pierwszym roku eksploatacji tramwajów jeździły one na 4 trasach o łącznej długości 10 km, wszystkie trasy przechodziły przez ulicę Piotrkowską, pasażerowie mieli do swojej dyspozycji 50 wagonów silnikowych i 54 doczepne. Już w roku 1901 na dziewięciu liniach o długości 14,65 km jeździło 60 wagonów silnikowych i 42 przyczepne, przewoziły one dziennie 27 tysięcy pasażerów, a w całym 1901 roku niemal 10 milionów pasażerów.

„Prawdziwie dobrym pomysłem było zaprowadzenie w mieście tramwajów elektrycznych. Przy wąskiej, a długiej figurze miasta oddają one nieocenione dobrodziejstwa mieszkańcom, a jak ci z nich korzystają, to wskazują cyfry (poprawnie powinno być liczby - przyp. MZW), według których tramwaje przebiegają 201257 wiorst miesięcznie (1 wiorsta = 1,067 km - przyp. MZW), w ciągu kwartału I-go roku 1902 przewiozły 3.387.872 pasażerów” - tak pisał w połowie roku 1902 „ojciec polskiego krajoznawstwa” Aleksander Janowski w jednej ze swoich książek „Wycieczki po kraju. [Wycieczka] IV Na szlaku nowej kolei”, wydanej w Warszawie w 1903 roku. Zaś tytułowa nowa kolej to Kolej Żelazna Warszawsko-Kaliska, właśnie świeżo w 1902 roku uruchomiona, o czym warto też więcej wiedzieć, ale o tym będzie traktował następny artykuł.

Od lutego 1900 roku do I wojny światowej na tramwajach widniała nazwa „Towarzystwo Łódzkich Dróg Żelaznych Miejskich”, wcześniej „Konsorcjum Kolei Elektrycznej Łódzkiej”, zaś w okresie międzywojennym była to spółka akcyjna „Kolej Elektryczna Łódzka” w skrócie KEŁ.

Obsługę każdego tramwaju oprócz motorniczego stanowił konduktor, który pobierał należność za przejazd, wydając bilet. W doczepce też był konduktor. Konduktorzy otrzymywali wynagrodzenie 30

rbs miesięcznie i umundurowanie, motorniczym płacono 32-35 rbs miesięcznie i też otrzymywali bezpłatne umundurowanie. Pracownicy ci - jak czytamy w jednym z dokumentów - musieli „posiadać przyzwoity wygląd oraz biegle mówić po rosyjsku i po polsku”.

Po uruchomieniu tramwajów na ulicach Łodzi dało się odczuć tłok i pewne niebezpieczne konflikty między kierującymi konnymi pojazdami towarowymi, ale głównie pasażerskimi, a tramwajami. Dlatego policmajster łódzki wydał pierwsze przepisy normujące ruch uliczny i wynaczył policjantów, których zadaniem było kierowanie ruchem na Piotrkowskiej i ulicach, po których jeździły tramwaje. Od tego więc czasu, tzn. od 1898 roku, zaczęły w Łodzi obowiązywać przepisy ruchu drogowego i działać policyjna służba ruchu.

Wagony były żółto-brązowe i od 1901 oznakowane numerami, wcześniej zaś były oznakowane swoistymi dla każdej linii tarczami o różnych kolorach i kształtach, co w mieście zamieszkałym przez 60% analfabetów było dla wszystkich zrozumiałe. Tak było w dzień, a w nocy były to kolorowe latarki. Ten system kolorowych oznakowań tarcz wraz z numerami utrzymywał się przez czas jakiś, na zawsze zaś został utrwalony przez Juliana Tuwima na kartach „Kwiatów Polskich”:

„Na cmentarz żółta trójka wiedzie,
Do domu szóstka granatowa,
Zieloną trójką się dojedzie
Do zielonego Helenowa
(...)
Piątka spod lasu, też zielona,
Lecz białym pasem przedzielona,
(...)
Dziesiątka jest niebiesko-biała,
Dwójka czerwienią fabryk pała,
(...)
Już nie pamiętam, jak ósemka...
Żółta z niebieskim? Czy w pasemka?”

Zmieniała się ilość wagonów i linii, przez długi czas nie było w Łodzi linii 13 - ot, taki przesąd wśród braci tramwajarskiej (i dziś też jej nie ma!). W roku 1920 na 10 liniach o długości 23 km kursowało 110 wagonów silnikowych i 77 doczepnych, przewiozły one ponad 34 miliony pasażerów, a personel KEŁ wynosił 799 osób. W 1929 roku było 17 linii (włącznie z „nocną”) o długości 46 km, 166 wagonów silnikowych i 145 doczepnych, a 1566 pracowników KEŁ przewiozło 87 milionów pasażerów. W 1936 roku 1407 pracowników KEŁ przewiozło 61 milionów pasażerów, w tym 7 milionów za biletami okresowymi i 5 milionów za biletami ulgowymi. Cena biletu normalnego wynosiła 25 groszy (tyle, ile kosztował 1 kg

chleba razowego, litr mleka, dwa jajka czy ćwierć kilograma cukru).

Jeśli mowa o biletach, to na liniach miejskich były znormalizowane (choć było ich kilka rodzajów, były m.in. bilety bagażowe), konduktor (a jakże, byli wtedy konduktorzy!) sprzedając bilet dziurkował szczypcami datę i kurs, dziurki szczypiec miały różne wzory, szczypce wyciskały także na bilecie numer konduktora. Zmieniały się ceny biletów (choć nie tak szybko jak dziś), ich wzory i czasem rozmiary, pozostawał jednak zawsze ten sam kształt - prostokątny. Możemy to obejrzeć na organizowanych okresowo wystawach, gdzie kolekcjonerzy biletów, skupieni m.in. w Klubie Miłośników Starych Tramwajów w Łodzi (którego członkiem z numerem 13 jest piszący te słowa), eksponują swoje bogate zbiory. Klubowi prezesuje Wojciech Źródłak, pasjonujący się starymi tramwajami, chodząca encyklopedia wiedzy o starych łódzkich i nie tylko łódzkich tramwajach. Największe zbiory biletów tramwajowych mają Zbigniew Szafranski i Paweł Szybilski z tego Klubu, obaj zresztą też zapaleńcy, miłośnicy starych tramwajów są do tego autorami nietypowej teki ekslibrisów „tramwajowych” - na każdym z kilkunastu ekslibrisów jest wiernie przedstawiony jeden typ historycznego tramwaju, ale współczesne też! Z okazji 95-lecia tramwajów miejskich w grudniu 1993 roku znów niewątpliwie zobaczymy na pokazach zbiory wspomnianych kolekcjonerów z łódzkiego Klubu Miłośników Starych Tramwajów, ale i zbiory powstającego od wielu już lat Muzeum Komunikacji Miejskiej.

Bilet normalny jednoprzjazdowy wtedy, w 1936 roku, kosztował jak już wspomniałem 25 groszy, dwuprzjazdowy 45 groszy, 10-przejazdowy 2,25 zł, 100-przejazdowy 20 zł. Ulgowy z prawem jednorazowego przesiadania 15 groszy, uczniowski 12-przejazdowy 1,40 zł, poranny 3-przejazdowy 45 groszy. Bilet normalny miesięczny 30 zł, ulgowy miesięczny 17,50 zł - ale tylko dla wojskowych w służbie czynnej oraz urzędników państwowych i komunalnych.

Największa frekwencja była na linii 11, której 7-km trasa prowadziła od Bałuckiego Rynku na Chojny ulicą Nowomiejską i Piotrkowską, kurs trwał 32 minuty i przejechało nią w 1936 roku ponad 10 milionów pasażerów. Najmniej pasażerów - tylko 1,5 miliona przejechało wydawałoby się najpotrzebniejszą linią łączącą obydwa łódzkie dworce kolejowe: Fabryczny i Kaliski. Była to linia nr 8 o długości 6 km, przejazd nią trwał 26 minut.

Zyski przynosił też transport towarów, które przewożono głównie nocami, specjalnymi wagonami towarowymi, było ich jednak tylko kilkanaście. Dla tych potrzeb istniała np. na Dworcu Fabrycznym specjalna bocznica tramwajowa, zlikwidowana dopiero w latach 60-tych.

W 1937 roku powstał - jak się okazało nierealny do dziś - pomysł budowy metra w Łodzi na trasie Plac Reymonta - Bałucki Rynek, z 6 przystankami na trasie.

Łódź przemysłowa to było nie tylko samo miasto, ale i satelitarne miasta i miasteczka przemysłowe: Pabianice, Zgierz, Ozorków, Aleksandrów, Konstantynów czy ongiś miasta Rzgów, Lutomiersk, a i o Tuszynie czy Brzezinach wspomnieć wypada. Miejsowości te (prócz niezrealizowanego projektu tramwaju do Brzeziny) w różnych latach zostały połączone z Łodzią tramwajem elektrycznym podmiejskim o tej samej szerokości toru 1000 mm. Pierwsze linie uruchomiono 17 i 19 stycznia 1901 roku do Pabianic i Zgierza, potem następne i jako ciekawostkę można podać informację, że na niektórych liniach tramwajowych początkowo parowozy ciągnęły wagony tramwajowe. Dzieje tramwajów podmiejskich ŁWEKD (kto jeszcze pamięta ten skrót i potrafi go rozszyfrować?) są równie bogate jak tramwajów miejskich i wymagają osobnego opracowania, są również bardzo ciekawe. Tylko jedną ciekawostkę wspomnę. Mianowicie, gdy trzeba było tramwaj podmiejski z zajezdni Chocianowice przetransportować do zajezdni Helenówek, podjeżdżał on o własnych siłach do ul. Piotrkowskiej, do krańcówki miejskich tramwajów przy domu „pod góralem”, tam doczepiano go do wagonu silnikowego KEŁ, który holował go Piotrkowską do Bałuckiego Rynku (choć szerokość torów i napięcie sieci były identyczne), tam po odłączeniu ruszał o własnych siłach Zgierską do Helenówka. Za taką operację holowania spółka ŁWEKD płaciła spółce KEŁ kwotę 500 zł.

Również dla pasażerów dużą niedogodnością była niemożność kursowania tramwajów miejskich na części trasy tramwajów podmiejskich i odwrotnie. Powodem tego był wyraźny podział terenu obsługiwanego bądź przez jedno, bądź przez drugie przedsiębiorstwo, a oczywiście najistotniejsza w tym była sprawa zysków obydwu spółek akcyjnych KEŁ i ŁWEKD. Tę sytuację zlikwidowano dopiero po wojnie, w latach 1945-1946, wpuszczając linie tramwajów podmiejskich trasami miejskimi w głąb miasta, natomiast linie tramwajowe miejskie przez wprowadzenie na tory ŁWEKD wydłużono zgodnie z interesami łódzian do przedmieść: Zdrowie, Ruda Pabianicka, Żabieniec czy Julianów, mimo iż jeszcze kilka lat obydwa przedsiębiorstwa, choć oba upaństwowione, działały osobno. Tramwaje podmiejskie do Zgierza, Ozorkowa, Konstantynowa, Lutomierska i Aleksandrowa objeżdżały dookoła Plac Wolności, przeszkadzając tramwajom miejskim, też okrążającym Plac Wolności. Dopiero w 1951 roku przeniesiono krańcówkę wspomnianych tramwajów podmiejskich do nowo zbudowanej pętli

tramwajowej na ul. Północnej obok skarpy staromiejskiej.

W 1948 roku nastąpiło połączenie obydwu przedsiębiorstw pod nazwą Miejskie Zakłady Komunikacyjne, od stycznia 1951 Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, podlegające od 1992 roku likwidacji wobec powstania spółki akcyjnej MPK SA. Różne były losy komunikacji tramwajowej po II wojnie światowej: początkowo wzrost, nowe tory na nowych ulicach, zwiększanie linii i taboru, a od niedawna likwidacja linii tramwajowych miejskich i podmiejskich. Kto z czytelników „Wędrownika” pamięta, kiedy zlikwidowano linię nr 13 na Nowe Złotno? A inne linie miejskie? A podmiejskie do Aleksandrowa, Tuszyna i Rzgowa? Kiedy wprowadzono (jak przed 95 laty było) tramwaje jednowagonowe? Kto z czytelników „Wędrownika” pamięta, kiedy zniknęli konduktorzy z tramwajów i autobusów (a kiedy w Łodzi wprowadzono autobusy?), a wprowadzono przedsprzedaż pojedynczych biletów i ich samoobsługowe kasowanie? Kiedy zniknęli ostatni pracownicy przekładający zwrotnice w kilkunastu punktach miasta przed niemal każdym skręcającym lub jadącym prosto tramwajem? Jak teraz odbywa się automatyczne przestawianie zwrotnicy? Kiedy zlikwidowano tramwaje nocne? Kiedy wprowadzono linie autobusowe „pośpieszne”? Czy była w Łodzi linia tramwajowa „0” („okólna”)?

A kto z czytelników pamięta „skrzynki uczciwości” w tramwajach?

Zaś wracając do sprawy, od której zaczęliśmy naszą wędrówkę po dziejach łódzkich tramwajów elektrycznych - sprawy elektrowni tramwajowej, to po uruchomieniu łódzkiej elektrowni w 1907 roku (85-letnia już „staruszka” trzyma się dobrze i ma trzy młodsze, nowocześniejsze „siostry” - elektrociepłownie) i stopniowym przejściu przez nią zasilania tramwajów (mimo konieczności stosowania podstacji prostownikowych), przestała ona właściwie być już potrzebna, choć traktowano ją jako rezerwową „na wszelki wypadek”. Zaprzestano jej użytkowania po 40 latach działalności, zlikwidowali ją Niemcy w 1943 roku, ale wysoki 25-metrowy komin, jeden z wielu w panoramie Łodzi noszącej ongiś dumne miano „Kominogrodu”, rozebrano - jak pisze Wojciech Źródłak w interesującym artykule w łódzkiej popołudniówce „Express Ilustrowany” 3 września 1993 roku - w czerwcu 1960 roku.

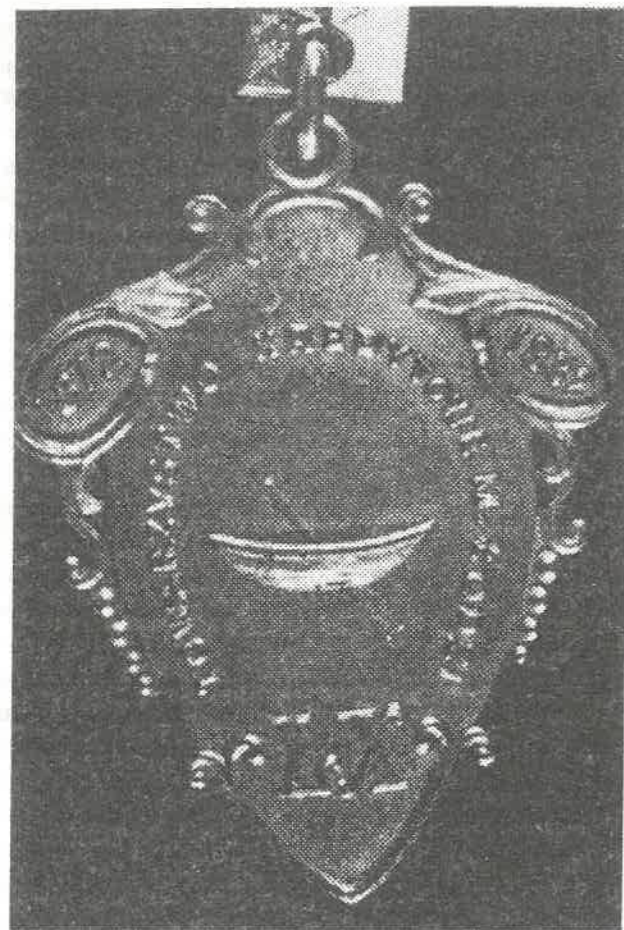
W dobie nieustannych przemian jak wygląda dziś i wyglądać będzie łódzka komunikacja miejska w przyszłości?

Czy przytłoczeni troskami życia codziennego zdobędziemy się na wysiłek świętowania teraz 95-lecia, a za 5 lat stulecia miejskich tramwajów elektrycznych w Łodzi?

Nowe dary i nabytki MHMŁ

Pomimo trudności związanych ze zbyt małymi dotacjami na kulturę - Muzeum Historii Miasta Łodzi wzbogaciło się ostatnio o szereg ciekawych i cennych zabytków, z których kilka najrzadszych pozwalamy sobie przedstawić.

1) ŻETON TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO MIASTA ŁODZI



Jest to odznaka z dołączoną emaliowaną (czerwono-białą) przewieszką (por. fot.), wykonana w złocie próby 3 (14-karatowym), obecnie próba 583, wagi ca 14,0 gramów. Jej szerokość wynosi - 28,3 mm, a wysokość razem z przewieszką - 54,0 mm. Natomiast sama przewieszka, również wykonana w złocie, posiada wymiary: 8,0 x 17,0 mm. Na stronie głównej w środku - herb Łodzi, niżej na samym dole rzymska liczba - LX (60). Dookoła herbu w półkolu napis: TOWARZYSTWO KREDYTOWE M. ŁODZI. W górze, po lewej i prawej stronie, ozdobione liśćmi akantu tarczki z latami: 1872 - 1932 (60-lecie powstania Tow. Kredytowego M. Łodzi). Strona odwrotna gładka (z dolutowaną śrubką w

metal), na której jest wygrawerowany w pięciu wierszach napis: Viribus / Unitis (łac. „wspólnymi siłami”) Zast. (Dyrektora) w półkolu: S. Bartczak. Na dole bita w głąb punca z głową rycerza i cyfrą „3” (próba złota) oraz punca ze znakiem grawera „EB”, który wykonał tę odznakę.

Odznaka bardzo rzadka, wykonana zaledwie w kilku egzemplarzach, którymi uhonorowano wyróżniających się pracowników TKMŁ, w jubileusz 60-lecia.

2) OZNAKA SŁUŻBY CMENTARNEJ W GETCIE ŁÓDZKIM

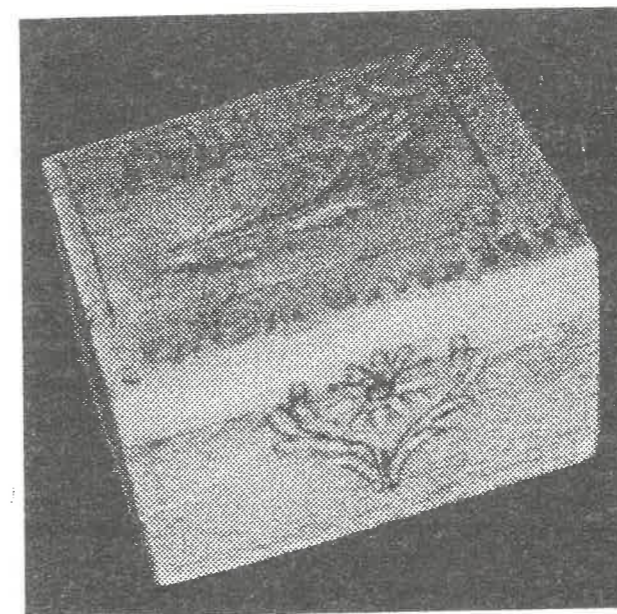


Owalna odznaka metalowa, składająca się z dwóch części: centralnej - z ażurową, dużą cyfrą „1” na środku i ażurowym napisem półkolistym w górze: FRIEDHOFS - DIENST (Służba Cmentarna) i - nadbudowy, w formie spłaszczonej elipsy (nierozdzielnie związanej z główną częścią) z wypukłym napisem w dwóch wierszach: DER AELTESTE DER JUDEN / IN LITZMANNSTADT (Przełożony Starszeństwa Żydów w Litzmannstadt). Wysokość oznaki - 40,0 mm, szerokość 5 mm, wytłaczana w mosiądzu. Na stronie odwrotnej prawdopodobnie była śrubka lub jakieś inne zapięcie. Ponieważ odznaka ta jest nadpalona (była w ogniu), nie ma po tym śladu.

W getcie była duża śmiertelność. Z powodu braku czasu (katorżnicza praca), pieniędzy, desek, a nawet zwykłych prześcieradeł, często zwłoki wynoszono bezimiennie na ulice, skąd z obawy przed epidemią służby cmentarne zabierały je na wózki i wywoziły na cmentarz. Ekipy te jako służby gettowe dla rozpoznania nosiły te oznaki - jako symbol reprezentującego ich urzędu.

Wytłoczone były najwyżej w kilkudziesięciu egzemplarzach. Do naszych czasów zachowała się zaledwie jedna sztuka. Stąd jej wielka rzadkość.

3) DREWNIANE PUZDERKO Z GETTA ŁÓDZKIEGO



Od Pana Konrada Bera - właściciela Antykwarium „Pod Zegarem” (Łódź, ul. Gdańska 23) - MHMŁ otrzymało cenny dar w postaci drewnianego puzderka z getta łódzkiego (por. fot.). Puzderko to ma nakładaną pokrywkę bez zawiasów i jest artystycznie, ręcznie zdobione. Posiada szer. - 46,0 mm, dług. - 58-59 mm i wysokość - 38,0 mm. Na wieczku w liniowym obramowaniu, z lewej strony u góry wryte duże, ozdobne litery: „AF” (prawdopodobnie inicjały imienia i nazwiska właścicielki puzderka). W środku obramowania wyrzeźbiona gałązka - z liśćmi i kwiatem. Na dole napis: „Litzm GETTO 1944”. Przednia (czołowa) ścianka również ozdobiona kwiatkiem. Pudełko lakierowane bezbarwnym lakierem.

Puzderka takie były wówczas modne i obdarowywano nimi w getcie kobiety, które trzymały w nich różne swoje drobiazgi, w tym też srebrną, specjalną, gettową biżuterię (zamiast zrabowanej złotej) w postaci: obrączek, pierścionków, wisiorków, broszek, bransoletek itp.

4) KOWADEŁKO Z MŁOTECZKIEM

Był w getcie łódzkim zwyczaj, że różni promieni, w tym także i sam „prezes” Ch. M. Rumkowski, odwiedzali podległe im zakłady, agitując do jeszcze lepszej i wydajniejszej pracy, przy okazji omawiając aktualną sytuację w getcie. Po skończonym takim wyreżyserowanym spektaklu „wdzięczni” pracownicy obdarowywali wizytującego specjalnym prezentem wykonanym w swoim resorcie. Ten czasami odwdzięczał się im np. talonami na dodatkowe porcje zup i wszyscy byli zadowoleni.

Właśnie taki prezent w postaci kowadełka z osobnym młoteczkiem udało nam się zdobyć do muzealnych zbiorów. Kowadełko to o wym.: ca 115 mm długości, 22,0 mm szerokości i ca 42,0 mm wysokości (por. fot.) zostało wykonane w mosiądzu. Z jednej strony szerokie z prostokątnym otworem, a z drugiej sękowate. Szerokość podstawy ca 40,0 mm, długość ca 55,0 mm. Całość została osadzona na okrągłej mosiężnej podstawie ϕ ca 72,0 mm, z boku moletowanej, przykręconą śrubą do kowadełka. Na bocznej ścianie kowadełka wygrawerowany napis w czterech wierszach: Zum Andenken von die Arbeiter / der Werkzeugmacherei / Metall - Abt I / Litzm. Getto 1.XI.43 - co w wolnym tłumaczeniu znaczy: Na pamiątkę od pracowników Fabryki Narzędzi Wydziału Metalowego I Litzmannstadt - Getto 1.XI.1943 r. [Wydział ten - największy zakład w getcie, mieściła się w nim również i gettowska menicja bijąca monety - początkowo znajdował się przy ul. Zgierskiej 56 (Hohensteiner Strasse), a potem został przeniesiony do budynków po byłej rzeźni miejskiej przy ul. Łagiewnickiej 63 (Sonnleite)].

Do kompletu należy również osobny, mały, mosiężny młoteczek srebrzony (?), o wym.: długość - 53,0 mm, szerokość - 5,0 mm i wysokość - 20,0 mm. Średnica elipsowatego trzonka młoteczka wynosi: 6 x 4 mm.

Ekspozyty te - nadzwyczaj rzadkie, wzbogaciły Gabinet Numizmatyczny, zbiory Działu Historii (pracownia okupacji) Muzeum Historii Miasta Łodzi czyli miejsce jak najbardziej do tego predysponowane i będą służyć do celów naukowych jak również i wystawienniczych.



PAMIĄTKA Z RESORTU METALOWEGO I

fol. E. Szkudlarek

Człowiek a krajoznawstwo jako nośnik wartości zagrożonych

Stwierdzenie, że krajoznawstwo jest nośnikiem wartości, zapewne nie budzi wątpliwości. Potocznie przyjmuje się, że krajoznawstwo to, jak sama nazwa wskazuje, znawstwo kraju. Warunkuje je poznanie i doświadczenie wartości środowiska życia człowieka. Umownie można przyjąć, że dotyczy ono trzech płaszczyzn życia człowieka: środowiska naturalnego, środowiska kulturowego i płaszczyzny relacji międzyludzkich.

Mówiąc środowisko naturalne, mamy na myśli świat tych wartości, które nie są dziełem człowieka, a które istnieją obiektywnie. Jak wielką wartość przedstawia to środowisko dla człowieka żyjącego dziś na naszym kontynencie nie trzeba chyba uzasadniać. Dostatecznie często przedstawiciele różnych organizacji europejskich i krajowych (w tym także PTTK) biją na alarm, by uwolnić środowisko naturalne od zgubnego wpływu człowieka. Wspomnijmy tu chociażby znany Raport Sekretarza Generalnego ONZ U'Thanta zatytułowany „Człowiek i środowisko” z maja 1969 roku, którego celem było obudzenie świadomości ekologicznej świata. Sfera wartości natury stała się także przedmiotem referatów i dyskusji jednego z czterech zespołów problemowych IV Kongresu Krajoznawstwa Polskiego PTTK, który odbywał się w Opolu we wrześniu 1990 roku. Prof. dr hab. Jacek Kolbuszewski w referacie „Przyroda jako wartość” zwrócił uwagę między innymi na etyczny aspekt zagadnienia: „...oczywista sfera wartości wiąże się z uznaniem moralnego aspektu wartości przyrody. Znow w rachubę wchodzi tu uznanie wartości najwyższej: życia, trwania. Nasze zbiorowe sumienie ekologiczne musi powszechnie uznać - jak to pięknie kiedyś napisał Stanisław Brzozowski - że «pora przestać z góry spoglądać na życie». Życie jest najwyższą miarą, ostateczną i jedyną wartością. Nie mamy żadnego prawa do zadawania innym elementom przyrody cierpienia, nic bowiem nas do tego nie upoważnia. Jeśli cierpią przez nas zwierzęta i rośliny, to dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu. Jeśli działamy na szkodę drugiego człowieka, to dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu. Jeśli niweczymy własne zdrowie, dopuszczamy się przewiny przeciwko życiu”. Podobny punkt widzenia przedstawił prof. dr hab. Zbigniew T. Wierzbicki w referacie „Zagrożenie środowiska przyrodniczego jako skutek kryzysu wartości a koncepcja ekorozwoju”.

Analizując główne przyczyny obecnego kryzysu ekologicznego prof. Wierzbicki pisał: „Jeśli zdrowie (fizyczne i psychiczne) i życie ludzkie stawiamy obecnie w hierarchii wartości na miejscu naczelnym, to tym samym wysuwamy na czoło ochronę środowiska jako naczelną wartość, a to ze względu na ich wzajemne powiązanie, a zapewne i zależność przyczynowo-skutkową. Czy jednak zmiana dotychczasowego systemu wartości jest wystarczająca wobec ogromu klęski, wobec zagrożenia cywilizacji i ziemi jako niszy ekologicznej ludzkości? Nie wystarczy tu już powszechna nawet edukacja ekologiczna, choć niewątpliwie jest bardzo potrzebna. Idea ochrony środowiska muszą być przeniknięte wszystkie dziedziny naszego życia...”. Następnie autor przytoczył fragment listu papieża Pawła VI skierowanego do Organizacji FAO, w którym czytamy: „Trzeba było tysiącleci, aby człowiek nauczył się panować nad przyrodą - czynić sobie Ziemię poddaną - jak mówi Biblia. Nadeszła chwila, aby opanował swe panowanie, a to niezbędne przedsięwzięcie wymaga nie mniejszej dzielności i niezłomności niż dzieło podbicia przyrody”. Kontynuując myśl prof. Wierzbicki pisał dalej: „Można mówić tu więc o konieczności zrewolucjonizowania dotychczasowych postaw, co wymaga z kolei głębokiej przemiany osobowości, a więc siłą rzeczy musi być przemianą moralną...”.

Z przytoczonych wypowiedzi jednoznacznie wynika, że środowisko naturalne człowieka nie jest aksjologicznie obojętne i w związku z tym nie może być tylko terenem produkcyjnej (często mało świadomej) działalności człowieka. Dziś niejako na nowo odkrywamy wartość przyrody w świecie coraz bardziej niszczonej i zatrutym przez przemysł o przestarzałych, nieekologicznych technologiach, nastawiony wyłącznie na uzyskanie doraźnego zysku. W kategoriach obiektywnego dobra mówimy o niezanieczyszczonym powietrzu, nieskażonej ziemi, czystej wodzie, a także o pięknie świata przyrody.

Obok przyrody środowiskiem życia człowieka, a zarazem kolejną umownie przyjętą płaszczyzną krajoznawstwa, jest środowisko kulturowe. Stanowi ono odrębną sferę wartości, zawartą w twórczości kultury. Nosicielem tych wartości w przeciwieństwie do świata przyrody jest człowiek. Tworzy on kultu-

rę, a więc świat wartości dla siebie. Inspirację dla tej twórczości stanowią często wartości pochodzące z bezpośredniego kontaktu ze środowiskiem naturalnym, a więc z poznania i doświadczenia istoty i pryncypiów przyrody oraz człowieka jako najważniejszego „elementu” przyrody. Niemniej zaistnienie wytworów kultury warunkują potrzeby człowieka, zarówno te bardziej podstawowe, egzystencjalne, jak i te, które kwalifikujemy do rzędu potrzeb wyższych. Mówiąc więc o środowisku kulturowym mamy na uwadze to wszystko, co stanowi dziedzictwo kultury - wytwory w krajobrazie, tj. obiekty architektoniczne świeckie (m.in. zamki, pałace, dwory, wiejskie chaty), sakralne (m.in. kościoły, cerkwie, kapliczki), a także zabytki techniki (m.in. młyny, wiatraki) oraz wytwory sztuki i myśli, a więc to, co stanowi malarstwo, rzeźbę, muzykę, literaturę.

Kultura jest więc dla człowieka swoistym elementem życia, odróżniającym go od wszystkim innych istnień świata. „Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze” - mówił papież Jan Paweł II w UNESCO w Paryżu, w czerwcu 1980 roku. A przy okazji innego spotkania w Rio de Janeiro w lipcu tegoż roku powiedział: „Kultura powinna rozwijać człowieka i to każdego człowieka w zakresie jego integralnego i pełnego człowieczeństwa, umożliwiając poszczególnemu człowiekowi i wszystkim ludziom całkowity rozwój każdego ludzkiego wymiaru. Zasadniczym więc celem kultury jest doskonalenie bytu ludzkiego i zapewnić mu konieczne środki do rozwoju jego indywidualnego i społecznego charakteru”.

Niestety środowisko kulturowe, podobnie jak środowisko przyrodnicze, jest dziś poważnie zagrożone. Na naszych oczach giną bezcenne dobra kultury materialnej i duchowej, które świadczą o tradycji i historii narodu i państwa. Coraz bardziej upowszechnia się zjawisko braku szacunku, obojętności i nieodpowiedzialności za postępującą dewastację i degenerację środowiska kulturowego. Dlatego też coraz częściej słyszy się głosy zatroskane o dobro tego środowiska, zwracające uwagę na fakt, że proces odcinania się od własnych korzeni jest procesem samozagłady, że właściwą miarą życia i wzrastania człowieka jest świadome otwarcie się na wartości, wśród których kultura zajmuje miejsce niekwestionowane.

Trzecią umownie przyjętą płaszczyzną wiążącą człowieka z krajoznawstwem stanowi płaszczyzna relacji międzyludzkich. Wyodrębnienie tej płaszczyzny może budzić wątpliwości. Człowiek jest przecież „elementem” przyrody, człowiek jest twórcą i odbiorcą kultury. Po co w takim razie mówić osobno o płaszczyźnie relacji międzyludzkich? Otóż, odpowiadając na tak postawione pytanie należy podkreślić, że krajoznawstwo to także poznanie drugiego człowieka i poznanie siebie. Uprawiając krajoznawstwo poznajemy lokalne zwyczaje, tradycje, obyczaje przede wszystkim poprzez kontakt i poznanie ludzi regionu. Także różne rodzaje wytworów kultury poznajemy między innymi poprzez poznanie ich twórców. Ponadto krajoznawstwo uprawiamy w gronie mniejszej lub większej grupy ludzi o różnych osobowościach, odmiennych sposobach bycia. Wszystkie wymienione formy poznania drugiego człowieka stwarzają możliwość poznania siebie. Z krajoznawczego punktu widzenia jest to możliwość ważna, albowiem poznając siebie poznajemy uwarunkowania naszego bytu, a więc poznajemy wartość środowiska, do którego niejako zostaliśmy przypisani. Poznaniu temu towarzyszy doświadczenie, a ściślej mówiąc przeżycie. Widząc na przykład piękny krajobraz patrzymy z zachwytem, pozostajemy pod wrażeniem jego uroku, budzą się w nas uczucia radości, podziwu. Podobnie reagujemy na piękno będące dziełem kultury. Niejako chłoniemy obraz, tekst czy muzykę, które nas urzekają. Analogicznie odbieramy człowieka, którego podziwiamy z racji dostrzeżenia w nim wartości szczególnie nam bliskich, doniosłych.

Krótko mówiąc, krajoznawstwo ze względu na wartości, których jest nośnikiem, przyciąga ku sobie, wzbudza zainteresowanie, skłania do refleksji. Poza tym krajoznawstwo właśnie dlatego, że daje możliwość poznania środowiska życia człowieka sprzyja afirmacji wartości tego środowiska, sprzyja odkrywaniu piękna, wobec którego człowiek nie może pozostać obojętny, szczególnie w sytuacji jego zagrożenia.

Tak więc, przyjęcie faktu realnego znaczenia wartości naturalnego i kulturowego środowiska człowieka skłania nie tylko do przeciwdziałania irracjonalnemu niszczeniu tego środowiska, ale i do odpowiedzialnego zaangażowania się na rzecz pozytywnego jego przetwarzania. Racją tego działania jest człowiek.

Środowisko kulturowe

W miarę postępu degradacji środowiska przyrodniczego człowieka, coraz częściej pojawiają się głosy potwierdzające potrzebę jego ochrony. Coraz trudniej jest nam żyć w zadymionych miastach, wśród spalin samochodowych, zniszczonych i wydeptanych zieleńców, cuchnących bajor, będących kiedyś rzekami i stawami. Coraz trudniej wykopać się w morzu, a jeżeli już, to przy „warunkowym” dopuszczeniu przez Głównego Inspektora Sanitarnego. Swoją drogą zastanawiam się czym się różni pływanie normalne od warunkowego, ale to już zupełnie inny temat. Problem stał się już na tyle istotny, że nasz organizm zaczął „przyzwyczajać się” do różnych trucizn i bardzo często się zdarza, że stały mieszkaniowiec miasta oddychając świeżym powietrzem zaczyna odczuwać różne dolegliwości - bóle, zawroty głowy itp. Nikogo chyba nie trzeba przekonywać, że problem zanieczyszczenia środowiska przyrodniczego człowieka jest problemem w dzisiejszych warunkach szalenie istotnym.

Celowo użyłem tu sformułowania „przyrodnicze”, a nie jak się zwykle u nas używa „naturalne” środowisko człowieka. Pragnąłbym, w tych krótkich rozważaniach, udowodnić, że środowisko naturalne jest pojęciem znacznie szerszym niż zwykle się u nas uważa i nie można go zamiennie traktować z określeniem środowiska przyrodniczego. Organizacja Narodów Zjednoczonych podając definicję środowiska naturalnego określiła je m.in. jako: „miejsce życia i rozwoju człowieka”. W naszych rozważaniach istotny jest szczególnie ten drugi człon określenia.

Rozwój to nie tylko czysto biologiczny wzrost, ale również rozwój osobowości w ściśle określonych warunkach otoczenia. Stawianie znaku równości między środowiskiem naturalnym człowieka a środowiskiem przyrodniczym jest więc mniej więcej takim nieporozumieniem, jak stwierdzenie, że człowiekowi do życia potrzebne jest jedynie: dobre jedzenie, oddychanie i spanie, a wszystkie inne dodatki są już zwykłymi fanaberiami. Nie negując ewidentnej potrzeby ratowania środowiska przyrodniczego spróbujmy się zastanowić, czym właściwie jest środowisko naturalne człowieka.

W mowie potocznej, zwłaszcza w poprzednim okresie historycznym, lansowało się u nas (zapewne dla pominięcia Osoby Stwórcy) pojęcie „stworzenia przez Naturę”. Chodziło tu jednak o „wytwory” przyrody istniejące na poziomie eutropii zerowej. Wszelkie produkty materialne bądź myśli człowieka były już jego wyłączną zasługą (tak jakby człowiek

nie był jedynie narzędziem w rękach Stwórcy). Stanowiło to zasadniczą przyczynę powstania nieporozumień wokół środowiska naturalnego.

Jak wynika z wcześniejszych rozważań, środowisko przyrodnicze jest zaledwie jednym ze składników środowiska naturalnego człowieka. Jednym z ważniejszych elementów środowiska naturalnego jest środowisko kulturowe człowieka. Przez środowisko kulturowe rozumiem tu całokształt zjawisk i zdarzeń, które mają wpływ na kształtowanie osobowości człowieka i zmierzają do rozwoju jego człowieczeństwa. Wiąże się to w sposób nierozłączny z pojęciem człowieka „in situ”. Rozwój cywilizacji, częste migracje ludności związane ze zmianą pracy, a jednocześnie otoczenia sprawiły, że współczesny człowiek nie czuje się już związany z miejscem swego urodzenia. Brak mu więc wewnętrznego oparcia na tradycji, pamiątkach i dziełach swoich przodków. Pół biedy jeśli ruchy migracyjne mają miejsce na terenie tego samego kraju czy narodu. Wówczas nie występuje tak duży szok obyczajowy czy językowy, aczkolwiek na tony można już liczyć opracowania socjologiczne, wskazujące na przykład niemożność zaadoptowania się ludności wiejskiej w mieście, przynajmniej w pierwszym pokoleniu. Odwrotnie jest już łatwiej, bo dla „mieszczucha” wyjazd na wieś jest formą powrotu do natury i pewnym sposobem „uproszczenia” życia, ale także rezygnacji z pewnych udogodnień cywilizacyjnych. Gorzej jest gdy migracje mają charakter ponadnarodowy i ponadkrajowy. Tutaj szok obyczajowy i kulturowy jest z reguły dość spory. Pierwsze pokolenie emigrantów jest z zasady pokoleniem ludzi rozrywanych między tą Ojczyzną, z której pochodzą, a którą niejednokrotnie idealizują, a tą nową, którą wprawdzie przygarnęła ich i daje im chleb, ale z którą nie czują się emocjonalnie związani, gdyż przeważnie nie znają jej i nie próbują poznać. Istotna jest tu także bariera językowa, gdyż nawet przy dobrej znajomości języka pewne zwroty, sformułowania, czy znaczenia słów możemy właściwie zrozumieć dopiero wtedy, gdy obcujemy z nim od dzieciństwa. Następne pokolenie odbierające już edukację w tamtejszych warunkach ma większe możliwości przystosowania. Dlatego więc wyrwanie człowieka ze środowiska jest tak istotne dla jego przyszłych losów, stanu psychicznego, możliwości rozwoju, a może nawet chorób. Dziś już nie trzeba nikogo przekonywać, że zdrowie człowieka jest nierozdzielnie związane z jego stanem psychicznym. Ciągłe stresy, nerwy i tempo życia powodują, że za-

padamy na choroby jak gdyby całkowicie z nimi nie związane. A zatem chroniąc środowisko naturalne człowieka możemy chronić jego psychikę. Współczesne życie narzuca nam stresy, których nie jesteśmy w stanie ominąć (aczkolwiek w mojej ocenie znaczna część stresów w ogóle by nie powstawała, gdybyśmy byli dla siebie bardziej życzliwi i bardziej rzetelni), jesteśmy natomiast w stanie opanować wewnętrzny chaos, bałagan i niepokój. Jak to uczynić? Ogólnie można powiedzieć, że poprzez rozwój ducha. Dla niektórych jest to wiara, dla innych kultura, sztuka, nauki humanistyczne. Każda droga do wzbogacenia naszej osobowości i człowieczeństwa jest dobra i każda dotyka czegoś, o czym na wstępie już wspomnieliśmy - środowiska kulturowego. Wiele ogólnie przyjętych sformułowań, hasła i powiedzeń w życiu codziennym wywodzi się z literatury. Literatury z kolei nie można oderwać od przyrody, której opisy niejednokrotnie stanowią główną jej kanwę. To samo dotyczy np. powiazań

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Z Lutomierska do Górki Pabianickiej

Trasa biegnie odcinkiem starego „Szlaku Okolic Łodzi”, który łączył Pabianice z Lutomierskiem. Obecnie w przebieg tego odcinka została włączona Kolumna i utworzono dwa odcinki: Pabianice - Kolumna i Kolumna - Lutomiersk. Przebieg tej trasy został opracowany „ku pamięci”, ze względu na poznanie mało znanego terenu turystycznego, leżącego w pobliżu Łodzi. Przebieg tej trasy, wynoszącej około 17 km, jest następujący: Lutomiersk - Wrząca Osiedle - Kwirynów - Grabczyzna - Florentynów - Okołowice - Porszewice - Świątniki - Górka Pabianicka.

Lutomiersk

Dawne miasto, obecnie osada położona na lewym, stromym zboczu doliny Neru. Badania archeologiczne prowadzone na terenie Lutomierska wykazały, że tradycje osadnicze sięgają tu około 2000 lat p.n.e. Najcenniejszym znaleziskiem jest cmentarzysko wczesnośredniowieczne z XI w., które położone było w rozwidleniu dróg z Lutomierska do Konstantynowa i Pabianic. Znalezione tutaj przedmioty pochodzenia obcego oraz groby wojowników - najprawdopodobniej przybyłych z Rusi Kijowskiej. Prawa miejskie otrzymał Lutomiersk w 1274 r. od księcia sieradzkiego Leszka Czarnego, a utracił je w 1870 r.

Kościół parafialny pw. NP Marii wzniesiony w 1780 r. z fundacji księżnej Barbary Sanguszkowej w stylu późnobarokowym. Wystrój wnętrza kościo-

wzajemnych między malarstwem i historią, przyrodą a sztuką użytkową itd. Widzimy zatem, że relacje te są szalenie głębokie i wzajemne. Nie sposób zatem zgodzić się na zbyt daleko idące uproszczenie, że środowisko naturalne to tylko czysta woda, świeże powietrze i zielona trawa, bo także duch przeszłości i teraźniejszości (duch tworzenia), to korzenie, z których człowiek wyrasta, to groby jego przodków, zabytki, literatura i sztuka, która towarzyszy mu, to grono przyjaciół i znajomych, sąsiadów, z którymi wiąże go wspólne przeżycia i wspomnienia, to wreszcie zwyczaje i tradycje narodu i grupy etnicznej, w której dojrzewał i stawał się człowiekiem.

Dziś, gdy otwierają się granice Europy, gdy mówi się o migracjach społecznych, gdy następuje duże wymieszanie kultur, pamiętajmy o ochronie tego środowiska, które jest dla nas na tyle cenne, na ile cenimy sobie własne życie.

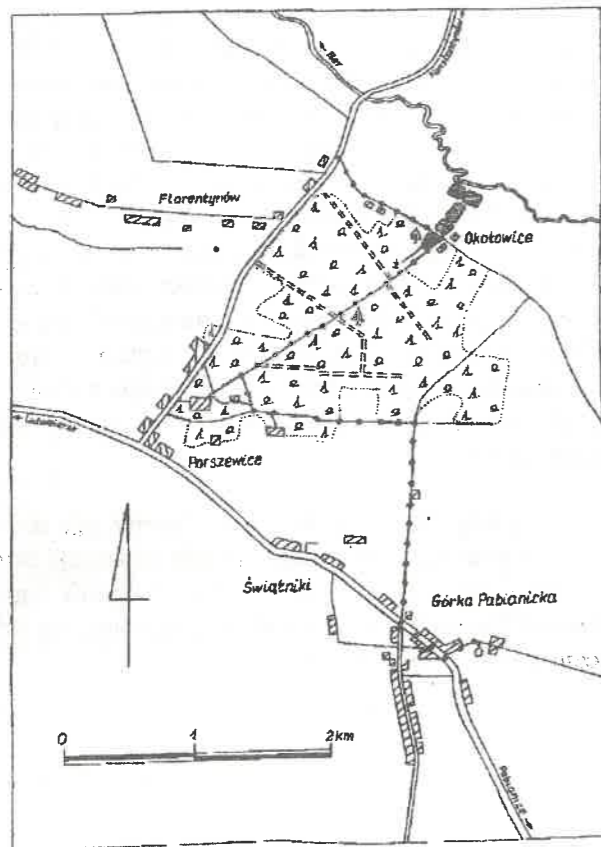
ła pochodzi z końca XVIII w. Zewnątrz oszkarpowany. Obok kościoła plebania z 1897 r.

Kościół i dawny klasztor Reformatorów zostały ufundowane w 1650 przez wojewodę rawskiego Andrzeja Grudzińskiego. Spalone w czasie wojny w 1914 r., odbudowane w 1925 r. Po kasacie klasztoru w 1864 r. kościół był przez długi czas zamknięty. W 1929 r. oddano pod zarządek księżom Salezjanom.

Poreformacki kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NP Marii posiada cechy architektury barokowej, zniekształconej częściowo przy odbudowie w okresie międzywojennym. W przedsionku kościoła tablica pamiątkowa z napisem: „1863 - 1963 Pamięci oddziałów powstańczych oraz ich wodza gen. Edmunda Taczanowskiego, dla których klasztor ten był twierdzą orężną i ostoją ducha w setną rocznicę - mieszkańcy Lutomierska”.

Według tradycji, w okresie powstania styczniowego, klasztor był warownią, a jednocześnie szpitalem i punktem aprowizacyjnym. Bywał tu gen. E. Taczanowski. W ogrodzie klasztornym zachował się wiąz, pod którym podobno odpoczywał generał oraz opracowywał ze swym sztabem plany działań wojennych.

Pod Lutomierskiem w dniu 11 września 1863 r. płk Aleksander Matuszewicz, zebrawszy rozbitków spod Dalikowa (pod Dalikowem w dniu 10 września oddziały powstańcze pod dowództwem mjr. R. Skow-

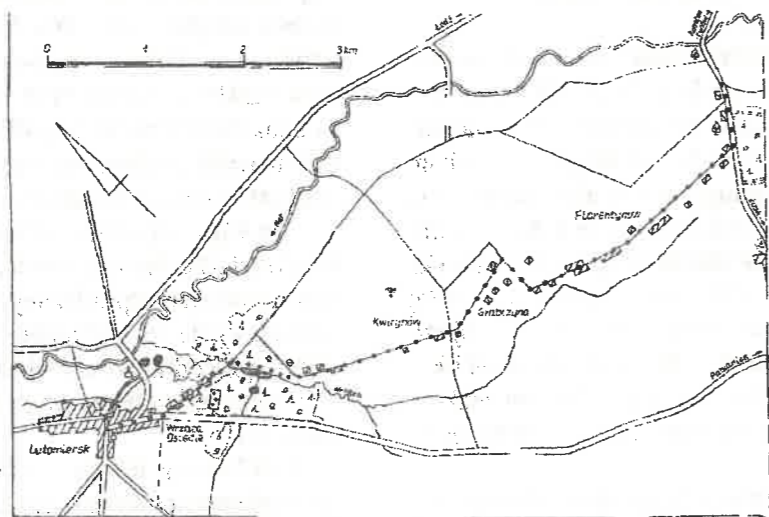


TRASA DLA CIEBIE

rys. Z. Parafianowicz

rońskiego stoczyły krwawy bój z wojskami rosyjskimi) stoczył pomyślną utarczkę z 3 rotami i 2 szwadronami rosyjskimi, wspartymi dwiema armatami.

Na miejscowym cmentarzu, przy szosie do Pabianic, znajduje się pomnik ufundowany w 1963 r. na miejscu tzw. bratniej mogiły powstańców 1863 r. Na pomniku zachowano napis: „Bratnia mogiła powstańców 1863 r.”. Na czworobocznym obelisku wyrzeźbione są wizerunki orła w koronie i orderu Virtuti Militari oraz wiersz Emila Zegadłowicza:



TRASA DLA CIEBIE

rys. Z. Parafianowicz

„W zwartej falandze
na śmiercią wiejący szaniec -
szedł w burzy i wrzasku piorunów
styczniowy powstaniec”
i sentencja Karola Wojtyły: „Wolność jest droższa niż życie”. Na cmentarzu tym znajduje się również grób Rocha Klimowskiego, powstańca z oddziału gen. E. Taczanowskiego.

Zamek w Lutomiersku

Zamek położony jest w zalewowej dolinie rzeki Neru u ujścia do niej strumienia Wrząca. Zamek znajduje się w obrębie poreformackich zabudowań klasztornych, które skrywają bryłę średniowiecznego zamku. Pozostałością jego jest południowa ściana budynku klasztornego, stanowiącego zespół trzech skrzydeł mieszkalnych otaczających czworoboczny dziedziniec. Do czwartego zachodniego skrzydła przylega poreformacki kościół. Południowe skrzydło klasztoru, pozbawione świadomie tynku, posiada średniowieczną gotycką fakturę ceglano-muru - jest pozostałością budowy obronnej z XV w., której fragment zużyto przy budowie klasztoru. We wschodniej części ściany znajduje się ślad ostrołukowo sklepionej bramy wraz z dwiema furtami. W zachodniej części są ślady wysklepionych łukami okienek - wszystkie otwory zamurowane są inną cegłą. Odślonięcie ściany średniowiecznego zamku nastąpiło w czasie odbudowy klasztoru w okresie międzywojennym. Rysunek przedstawia rekonstrukcję rzutu zamku na tle rzutu klasztoru (zaczepnięto z pracy: „Zamki środkowopolskie”).

Bibliografia:

Andrzej Ruszkowski: Wydarzenia powstania styczniowego 1863-64 w województwie sieradzkim. Biuletyn ZW PTTK w Łodzi, Nr VI/288/83. Praca zbiorowa pod redakcją Tadeusza Poklewskiego, „Zamki środkowopolskie”, część I, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1977.

Przebieg trasy

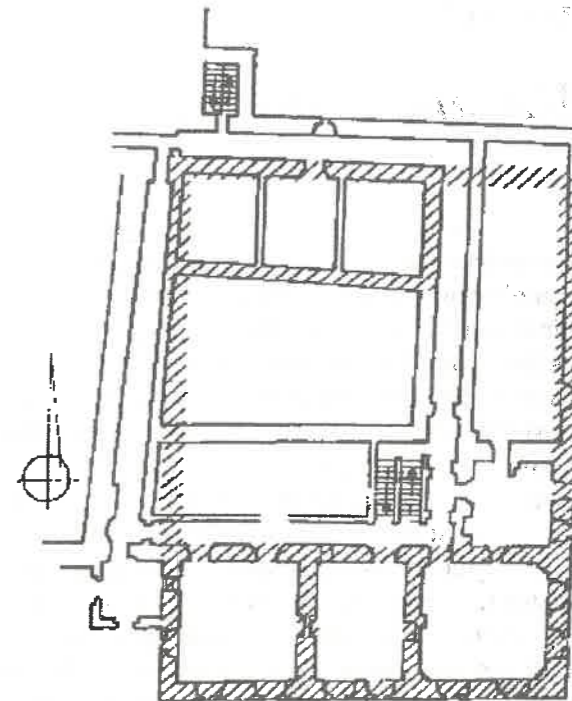
Z rynku kierujemy się ulicą Kościuszki do kościoła parafialnego, gdzie skręcamy w lewo. Ulica, którą idziemy, skręca dalej łukiem w lewo. My idziemy dalej prosto w kierunku szosy prowadzącej do Pabianic, aż do rozstaju dróg. Skręcamy w lewo w ulicę prowadzącą przez osiedle Wrząca. Ulica ta w dalszym swym biegu wysadzana jest starymi akacjami. Przechodzimy przez most na strumieniu Wrząca, zasilającym kąpielisko „Wrząca”, położone w dolinie strumienia, wśród pagórków i sosnowych lasów. Za mostem, po przebyciu ok. 50 m, skręcamy w prawo na ścieżkę prowadzącą przez las. Dalej ścieżka biegnie równoległe do biegu strumienia. Idziemy przez las porastający, po lewej, rozległe wzniesienie. Mijamy duże stawy utworzone na Wrzącej - na ich wysokości spotykamy rozstaje ścieżek leśnych. Skręcamy w lewo - ścieżką wznoszącą się na wzniesienie dochodzimy do drogi prowadzącej wzdłuż działek. Wychodzimy z lasu wznoszącym się terenem na rozległe pola. Po lewej widoczny najwyższy punkt wzniesienia (181 m). Połą drogą dochodzimy do pojedynczych zabudowań wsi Kwirynów, za którymi droga wysadzana jest pięknymi topolami - rośnie tu pięć drzew o obwodach od 2,7 do 3,5 m. Dalej spotykamy mały pagórek z kapliczką na słupie - tutaj droga skręca łagodnym łukiem w lewo, prowadząc dalej krawędzią płaskiego wzniesienia. Docieramy do budynków wsi Grabczyzna z dużą topolą i kapliczką na niej. Po dojściu do poprzecznej drogi skręcamy w prawo i po około 300 m skręcamy w lewo na drogę wysadzaną młodymi topolami, prowadzącą przez wieś Florentynów. W środku wsi spotykamy stary drewniany krzyż. Po minięciu wsi osiągamy szosę Konstancynów - Łask z przystankiem PKS. Skręcamy w lewo i po chwili spotykamy rosnący przy szosie dąb o obwodzie 3,9 m. Szosą dochodzimy do drogi odchodzącej w prawo (do tego miejsca około 9,0 km). W zagrodzie po lewej rośnie potężna lipa widoczna z szosy.

W tym miejscu możemy zakończyć wycieczkę i udać się do Konstancynowa - szosą około 2,5 km. Przed mostem na Nerze, po lewej na łące, rośnie wspaniały dąb o obwodzie 5,0 m z ogrodzoną kapliczką u podnóża.

Dalszy przebieg trasy

Następny odcinek trasy prowadzi drogą odchodzącą od szosy. Po chwili spotykamy, po lewej, dwa klony o obwodach 4,3 i 3,7 m.

Droga prowadzi dalej wzdłuż działek, aż do lasu po prawej. Dochodzimy do miejsca, gdzie na skraju lasu rośnie dąb - pomnik przyrody o obwodzie 4,5 m, a dalej po obu stronach drogi dwa stawy. Nad stawem, po prawej, murowany dom wsi Okotowice. Tutaj skręcamy w prawo i zagłębiamy się w las. Po chwili spotykamy po lewej limby, rosnące na dużej powierzchni lasu. Tworzą one tutaj rzadko spotyka-



TRASA DLA CIEBIE

rys. Z. Parafianowicz

ne skupisko - drzewa są duże, wieloletnie. Droga leśna, po pokonaniu małego wzniesienia, doprowadza do dużej, śródleśnej polany. Tutaj skręcamy w lewo i po około 300 m osiągamy poprzeczną drogę. Skręcamy na nią w lewo - droga ta w prawo prowadzi do wsi Porszewice. Droga biegnie dalej przez las - po prawej mijamy położone w lesie budynki Domu Dziecka w Porszewicach. Po przebyciu około 1 km wychodzimy z lasu na pole z widokiem na wieżę kościoła w Górcie Pabianickiej. Dochodzimy do poprzecznej drogi, za którą rozciąga się pasmo wydmy. Skręcamy w prawo. Droga doprowadza do wsi Świątynki i szosy Lutomiersk - Pabianice. Stąd w odległości około 1 km, szosą w prawo, znajduje się pomnik - ewenement w skali krajowej - na którym napis głosi: „Świątynki 1407-1987 w 580-lecie pierwszej wzmianki pisanej o wsi Świątynki według Jana Długosza. Mieszkańcy Świątynki”.

Szosą w lewo dochodzimy do drogowskazu „Górka Pabianicka”, przystanków PKS i autobusu miejskiego do Pabianic. W tym miejscu skręcamy z szosy w lewo na drogę, która dalej staje się aleją lipową - prowadzącą do kościoła. Po prawej, nad stawem, mijamy oryginalną kapliczkę z datami 1889 i 1914, z ogrodzeniem kutym w żelazie. Kościół jest położony na pagórku. Mur okalający z bramą kutą w żelazie, której wykonawcą był J. Skrobecki z Włocławka - prawdopodobnie był również wykonawcą ogrodzenia kapliczki. Obecny neogotycki kościół pochodzi z 1874 r., murowany, na miejscu spalonego z 1858 r. i drewnianego z drugiej połowy XVII w.

Wracamy do przystanków autobusowych.

Biwaki... biwaki...

Biwaki. Jeden z tych najbardziej podstawowych składników turystyki, które przynoszą najsympatyczniejsze przeżycia i wzbudzają najmiłsze skojarzenia u zagorzałych trampów. Ale są te przeżycia i skojarzenia udziałem tylko turystów uznających jedynie prawdziwe plecakowo- lub kajakowo-namiotowe wędrowanie. Dla tych wędrowników jedynym wypoczynkiem po uciążliwym dniu na trudnym szlaku jest spokojny biwak w uroczym zakątku, z dala od rojnych i gwarnych schronisk, campingów i innych stanic. Wtedy dopiero, pod gwieździstym niebem, w otoczeniu - niejako we wnętrzu - przyrody, odczuwa się niemal dotykalnie prawdę, że człowiek jest jej częścią, z niej się wywodzi, choć coraz skuteczniej od niej się odcina na własną zgubę. Taką refleksję budzi i pełne odprężenie przynosi w zasadzie każdy biwak. Ale są wśród nich takie, które zapisały się mocniej w pamięci, wyróżniły się czymś szczególnym, co dało im dodatkowy „smaczek”. Może to być wyjątkowe piękno, nietypowe zdarzenie lub jeszcze coś innego, co utrwala pamięć o nich. Spośród nich najsympatyczniej wspomina się biwaki najpiękniejsze i niecodzienne.

Wśród tych pierwszych wymienimy chociażby trzy:

1) Jezioro Sajno koło Augustowa. Z kanału Bystrogo wypływa się wprost na fragment południowo-wschodniego brzegu o wyjątkowej urodzie. Wysoka, piaszczysta skarpa porośnięta jest przepięknym, starym, wysokim lasem sosnowym, a krawędź jej stromego stoku pokryta płacami zwiśającej darni, spod której osypuje się złotymi jezorami piasek wypłukiwany deszczem i wydmuchiwany wiatrem. W jednolitej ścianie szuwarów jest tylko jedno dojsście do brzegu szerokości kilkunastu metrów, pozbawione zupełnie trzciny, o dnie piaszczystym i obniżającym się łagodnie. Miejsce wielce urokliwe, wieczór bliski, postanowienie mogło być tylko jedno - tutaj biwakujemy!

Namioty rozbiliśmy na skarpie, skąd z wysokości 5-6 metrów rozciągał się na jezioro piękny widok. Ale prawdziwa frajda przyszła dopiero później, kiedy pomarańczowo zachodzące słońce obniżyło się nad wodę. Było to coś wspaniałego! Jezioro, prześwietlone pomarańczowymi promieniami, wyglądało jakby napełnione roztopioną miedzią mieniącą się tak, że jej blask kłuł w oczy, aż do bólu. Obniżające się powoli słońce niepostrzeżenie zmie-

niało barwę „miedzianego jeziora” na odcienie coraz głębsze, aż do ciemnej czerwieni tak, jakby to rzeczywiście roztopiona miedź stygnąc zmieniała barwę. Kiedy wreszcie słońce zaszło zupełnie, staliśmy nadal zafascynowani, „łapiąc” z powierzchni nagle pociemniałej wody teraz już srebrzysto-szare refleksy. Staliśmy tak jeszcze dłuższą chwilę, w zupełnym milczeniu...

2) Jezioro Łaśmiady koło Ełku. Jego wschodni brzeg stanowi znacznie wyższa niż nad Sajnem, bo chyba z 15-metrowa skarpa. Istna piaskowa góra, której zalesiony, obszerny wierzchołek stał się świetnym miejscem biwakowym i zarazem punktem widokowym. Z tej wyniosłości cała okolica wygląda niby plastyczna mapa. Nic też dziwnego, że na skraju skarpy ciągle ktoś stał i podziwiał te widoki podmałowane zachodzącym słońcem. W pewnej chwili, zauważywszy, że stojących nad osuwiskiem coś szczególnie zainteresowało, podszedłem na skraj i ja. I rzeczywiście! Zobaczyłem coś, czego ani dotąd, ani później nie widziałem. Oto przy zupełnie nieruchomym powietrzu, na absolutnie gładkiej powierzchni wody, jakby przykrytej szklaną taflą, ujrzeliśmy niespotykane odbicie nisko już wiszącego słońca. Nie była to jak zwykle świetlista smuga, lecz odbicie w wodzie jakby trzech oddzielnych słońc rozdzielonych ciemnymi, szerokimi pasami, na których nie było najmniejszego refleksu, najmniejszej iskierki światła. Tylko te trzy wyraźne odbicia słoneczne nie naruszone żadną zmarszczką, najładniejszym choćby zafalowaniem wody. I trwało to dopóki wydłużające się cienie drzew nie pokryły wody. Przebogate są możliwości stwarzania przez przyrodę takich niecodziennych, a fascynujących efektów.

3) Rzeka Obra. Do ujścia Warty tylko kilka kilometrów, do Skwierzyny także. Kończy się bardzo uciążliwy dzień. Pokonaliśmy właśnie najtrudniejszy odcinek rzeki, pogrodzony gęsto zwalonymi drzewami, tworzącymi często zapory nie do przepłynięcia, przez które kajaki trzeba przeciskać, przeciągać, albo obnosić brzegiem. Napracowaliśmy się, szczególnie dziewczyny, niczym „burłacy” - odpoczynek jest więc bardzo potrzebny. Rozglądamy się po brzegach, szukając jakiegoś dobrego miejsca na biwak. Wreszcie jest! Duża, równa, trawiasta polanka wśród leśnej gęstwiny. Na jej końcu spostrzegamy coś ciekawego. Jest to pojedyncze drzewo, stojące w pewnym oddaleniu od ściany lasu. Ale ja-

kie! Jego korona, o średnicy „na oko” ze 30 metrów, jest tak dokładnie kulista, tak regularna, jakby ktoś przeciął na pół ogromną piłkę i nasadził ją na pień, albo jakby jakiś ogrodnik przycinał ją według dokładnie kulistego szablonu. I jeszcze jedno - korona drzewa wyglądała w prześwietlonym słońcem powietrzu jakby pokryta śniegiem - absolutnie biała tak, że z naszej odległości trudno było ocenić, co to za drzewo. Z bliska okazało się, że jest to lipa, tak gęsto pokryta kwiatem, bo był to właśnie okres kwitnienia, że spod kwietnej okrywy nie było widać liści. I to właśnie dawało z oddalenia wrażenie śnieżnej bieli. A wrażenie jej rozmiarów chyba nie było przesadzone. Średnica korony niewiele ustępowała rozmiarom korony słynnego „Bartka” z Zagłaniska na Kielecczyźnie. Widziałem wiele wielkich, także zabytkowych lip, ale takiej nigdy więcej nie spotkałem, ani co do rozmiarów, ani co do urody. Nie pamiętam również tak „pachnącego” biwaku. Powietrze było aż gęste od lipowego zapachu, wprost odurzało tak, że namioty postawiliśmy do brych kilka metrów poza zasięgiem korony, aby oprócz gęstego i „słodkiego” zapachu mieć także trochę tlenu do oddychania. A dodatkową atrakcją, aż do zachodu słońca, było nieustanne, o niezmiennym natężeniu, „buczenie” naszej piękności, którego sprawcami były chyba miliony pszczoł i innych owadów oblegających bez przerwy jej ukwieconą koronę. I choć od tego czasu minęło ponad 10 lat, widzę jeszcze to drzewo, czuję ten zapach i słyszę jego „granie”.

Do niecodziennych biwaków zapewne należy zaliczyć niżej opisany.

W połowie ciepłego kwietnia któregoś roku, przed Wielkanocą, ktoś w klubie zaproponował: a może by tak w Wielkanoc popływać? Ano, może by tak... I w sobotnie, przedświąteczne popołudnie znaleźliśmy się w 5 lub w 6 załóg w Tomaszowie Mazowieckim, aby jeszcze tego dnia popłynąć Pilicą w okolice Spały i tam stanąć na biwaku. Ponieważ było pogodnie i nawet ciepło, urządziliśmy wspólną, przedświąteczną kolację „pod chmurką” przy ognisku. Pojedliśmy, posiedzieliśmy, pogadaliśmy, jak to przy ognisku i poszliśmy spać. Ale nie na długo. Bo jeszcze przed świtem, to w tym, to w innym namiocie ktoś się poruszał, jakby czegoś szukał, jakby się ubierał... Po jakimś czasie i mnie „dopadło”. Obudził mnie chłód. Sięgnąłem więc po jakiś dres, po kurtkę i okryłem się dodatkowo, bo sam

śpiwór jakby przestał wystarczać. Wreszcie chyba przed godziną szóstą ktoś wygrzebał się z namiotu i zaczął kręcić się przy wygasłym ognisku. Znęciło to i mnie. Kiedy rozpałiło się na dobre, ten i ów pojedynczo zaczął się pokazywać i dogrzewać przy ogniu. Kiedy wkrótce pomyśleliśmy o śniadaniu, okazało się, że ognisko przydało się nieoczekiwanie do jeszcze jednego celu. Otóż wyciągając z namiotów wstawione przezornie do środka produkty, każdy kolejno stwierdzał, a to że ugotowane jajko wielkanocne jest nie do ugryzienia, bo zamarzło na kamień, a to ogórki zamieniły się w lodowe sople, a to zamiast herbaty pozostałej z kolacji w naczyniu jest brązowa, lodowa bryła, a to wędlina nie da się ukroić, bo nóż jej nie „bierze”... Śniadanie dało się przygotować dopiero po odtajeniu naszych zapasów w kręgu ogniskowego ciepła. Po całodziennym pływaniu, a dzień był znowu słoneczny i ciepły, wieczorem dopłynęliśmy do wsi, której ostatnie domy schodziły niemal do rzeki. Mając w pamięci poprzednią noc, załatwiliśmy z gospodarzem najbliższego obejścia nocleg w stodole na sianie. Kiedy po kolacji szykowaliśmy się do snu, postanowiliśmy z Józkiem uczcić tradycję i urządzić następnego ranka „dyngus”. Poczekaliśmy więc aż wszyscy ułożą się do śpiworów i dopiero wtedy wstawiliśmy do stodoly dwa pożyczone od gospodarza wiadra z wodą. Pomysł z noclegiem okazał się świetny - zagrzebawszy się dodatkowo w sianie, spędziliśmy noc ciepło, jak przy piecu. Rano, obudziwszy się przed innymi, wstaliśmy obaj cicho, aby wykonać nasz zamiar. „Dyngusa” jednak nie było. W wiadrach zamiast wody znaleźliśmy... dwie bryły lodu. Przemarznięte „na wylot”! A w poświętecznej gazecie wyczytałem wiadomość, że temperatura w świątecznej nocy wynosiła -8 st. C.

Nie ma to jak wiosenne biwaki!

Nie są to oczywiście wszystkie warte zapamiętania biwaki w mojej kajakarskiej i turystycznej karierze. Ale te jako szczególnie utkwiły w mojej pamięci, wspominać je wyjątkowo sympatycznie, bo na nich zwłaszcza mocno odczułem piękno i wartość dobrego biwaku podczas turystycznego wędrowania. I to niech będzie usprawiedliwieniem, że właśnie je wybrałem, a nie te na warciańskiej kępie, na wiślanej piaszczystej wyspie, czy na biebrzańskich Czerwonych Bagnach, albo w cichym zakątku nad jeziorem pod czarnym, wygwieżdżonym niebem.

W Kijowie - na Ukrainie w 1917 r.

Kijów za czasów „carskich” był silnie spolonizowany. Coroczne zjazdy cukrowników, wśród których przeważali Polacy, zwane potocznie „Kontraktami” nadawały Kijowowi jakąś specyficzną nobilitację o polskim kolorycie. W sklepach można było porozumieć się po polsku, bo nawet jeżeli sprzedawca nie władał tym językiem, to w każdym razie rozumiał. Pamiętam taki epizod, kiedy wpadła do nas jedna z przyjaciółek mojej Matki ogromnie wzburzona i powiedziała - „Janka, żeby twoja noga, ani nikogo ze znajomych naszych, nie powstała w sklepie takim to, a takim (pamiętam, że był to sklep pasmanteryjny na placu Dumskim)! Wyobraź sobie, że ja mówię do sprzedawczyni po polsku, prosząc ją o białą tasiemkę, a ona mi na to: «Gawarytie na ruskim jazykie» (mówcie po rosyjsku). Coś podobnego!”. W niektórych sklepach były nawet napisy, że mówi się po rosyjsku, ale była to tylko czysta formalność. W 1913 roku w czasie Światowej Wystawy w wielu pawilonach były takie groźne napisy, natomiast w wielkim pawilonie amerykańskim na wszystkich ścianach ostentacyjnie wielkimi literami widniało: „Tu mówi się wszelkimi językami”.

Inteligencja polska utrzymywała towarzyskie stosunki przeważnie między sobą, ale również i z Rosjanami, którzy uważali sobie za zaszczyt to, że bywają u nich Polacy; to świadczyło o wysokim towarzyskim poziomie domu.

Szkoły męskie były rosyjskie, żeńska była polska - pensja Pani Peretiatkowicz oraz przedszkole, które wówczas nazywało się „Ogródek Pani Żukiewiczowej”, do którego uczęszczałam. W męskich gimnazjach polscy chłopcy trzymali się razem z pewnym dystansem od kolegów rosyjskich i od czasu do czasu urządzali małe demonstracje w rodzaju takim, jak w czasie śpiewania w szkole z jakiejś okazji hymnu rosyjskiego, który zaczynał się słowami: „Boże cara chrani” (Boże chroń cesarza) oni śpiewali: „Boże cara charani” (Boże pochowaj cesarza). Jeżeli doszło to do uszu wychowawcy, wzywano rodziców „na dywanik”, zmniejszano stopień zachowania, a czasem nawet relegowano młodocianych „demonstrantów”. Potem była i polska szkoła gimnazjum, ale nie pamiętam czy powstała ona przed rewolucją 17-go roku, czy po.

W Kijowie były dwa kościoły polskie: tak zwany „Stary” na ul. Trochewiatitielskiej i „Nowy” nie pamiętam na jakiej ulicy. Jako małe dziecko bywałam w tym pierwszym, jako że był blisko naszego miejsca zamieszkania (na ul. Mikołajowskiej).

Pewnego razu około roku 1917 młodzież polska zarówno gimnazjalna, jak i uniwersytecka po niedzielnej mszy św. z racji jakiejś polskiej rocznicy zaśpiewała „Boże coś Polskę...”. Zanim dokończyli pieśni kościół został otoczony przez policję i wszyscy uczestnicy zostali wywiezieni na Sybir, nawet bez powiadomienia rodziców. Moi dwaj bracia Bohdan i Zbigniew chodzili do II-go Gimnazjum Miejskiego. Starszy Bohdan należał do Harcerstwa, oczywiście rosyjskiego, gdyż innego nie było. Nie istniało oficjalnie, ale jednak rzeczywiście istniało tajne harcerstwo polskie, do którego jakimś tam sposobem trafił brat młodszy. Było ono ściśle zakonspirowane. O przynależności Zbyszka do polskiego harcerstwa nawet w domu nikt nie wiedział. Starszy brat szybko awansował i w krótkim czasie został zastępowym. Pewnego razu dostał polecenie w ramach harcerskich sprawności wysledzić zbiórkę Harcerstwa Polskiego. Natychmiast „podał się do dymisji”, próbowano różnymi sposobami ponownie go skaptować, ale to się nie udało. Zbyszek wiedział o całej tej aferze, ale nawet wtedy pary z ust nie puścił. Natomiast dużo później, już kiedy skauting polski był jawny, opowiadał, jak z pewnej zbiórki musieli ewakuować się po drabinach przeciwpożarowych z trzeciego piętra. Na zbiórkach prócz różnych zadań harcerskich, mieli lekcje historii Polski i polską literaturę.

Przyszedł marzec 1917 roku. Pierwsza rewolucja rosyjska „Marcowa”. Miałam wtedy dziewięć lat i dla mnie całe zagadnienie ograniczało się do świadomości, że nie będzie już cara. Chyba na drugi, czy trzeci dzień po ogłoszeniu o detronizacji Mikołaja II Zbyszek w godzinach popołudniowych oznajmił Matce, że jutro jest defilada po nabożeństwie w kościele i że on musi mieć mundur. Matczysko zabrało się natychmiast do szycia i szyła ów mundur przez całą noc. W rezultacie następnego dnia nie była w stanie zaprowadzić mnie i moją rówieśnicę, dziewczynkę imieniem Mila, która chowała się razem z nami, na te wszystkie uroczystości i telefonicznie umówiła nas ze swoimi przyjaciółkami. My z Milą marzyłyśmy, żeby pójść same, bez jakiejś opieki. Zbyszek obiecał zapisać nas do Harcerstwa i uważałyśmy, że obowiązuje nas już samodzielność. Robiłyśmy wszystko, aby spóźnić się, a miałyśmy przyjść do domu owych maminych przyjaciółek na ul. Wielką Żytomierską. No i oczywiście dopięłyśmy swego, pokojówka otworzywszy nam drzwi oznajmiła, że „Państwo już dłużej nie mogli czekać i poszli do kościoła”. Uszczęśliwione pognałyśmy i

my do kościoła. Ulice roiły się wesołym tłumem. Zamiast „stójkowych” kręcili się między przechodniami milicjanci w cywilnych ubraniach tylko z czerwonymi opaskami na rękawach. Nie wiadomo dlaczego straszliwie bałyśmy się owych milicjantów i widząc ich z daleka przechodziłyśmy na drugą stronę ulicy. Oczywiście dla nas kościołem był nasz kościółek na Trochewiatitielskiej. Zaś w rzeczywistości główne nabożeństwo i uroczystości miały być w „Nowym” kościele, który był znacznie większy od starego, ale to jakoś nie dotarło do naszej świadomości.

Kościół był pełny, głowa przy głowie. Z kazania zrozumiłyśmy tyle, że teraz ma być wolność. Kulminacyjny punkt nastąpił po mszy, kiedy ksiądz od ołtarza zaintonował „Boże coś Polskę”. W pierwszej chwili nikt nie podchwycił, zaległa śmiertelna cisza i wszyscy obrócili się w kierunku drzwi; nikt jednak nie wszedł nimi i po chwili z kilku setek piersi buchnął śpiew zmieszany ze szlochem. Nie jestem w stanie opisać słowami czym był ten śpiew. Była w nim i bolesna skarga, i jakaś obłądna radość. Wrażenie tych chwil pozostało mi na całe życie. Ilekroć słyszę tę pieśń, staje mi przed oczami tamten kościół, tamten ksiądz i ludzie, i zawsze coś ścisną gardło. Po nabożeństwie pognałyśmy na Kroszczatik (główna ulica Kijowa), którędy miała iść zapowiadana defilada. Po drodze na placu Dumskim zobaczyłyśmy wielkie zbiegowisko wokół pomnika Stołpina. Nad pomnikiem widniało mocne rusztowanie, kilku ludzi wiązało czerwoną szmatą czy posagu i zakładało na szyję pętlę z łańcucha, po czym ku radości zgromadzonych podciągnięto do góry i Stołypin został powieszony... Nawiasem mówiąc wisił tak potem dość długo. Kreszczatikiem szedł pochód długi i tłumny, widziałyśmy naszych polskich Skautów; była to niemała wcale grupa obojga płci, a nas roznosiła radość i niecierpliwłość, bo w najbliższym czasie miałyśmy należeć do tej grupy. Zbyszek nam to solennie obiecał i dotrzymał w najbliższym czasie.

Defiladę młodzieży szkolnej, studenckiej oraz Harcerzy rosyjskich przyjmował naczelnik Harcerstwa rosyjskiego doktor Anichin, czy Aniszczanko (pamiętam tylko początek nazwiska i tego jestem pewna), był to ten sam naczelnik, który nakazywał swoim druhom śledzić polskie Harcerstwo i wydawał jego członków w ręce carskiej policji. Stał na karym koniu i kiedy nadciągnęła kolumna polskich Skautów prowadzona przez Naczelnika Sedlaczka, krzyknął: „Da zdrastwuj polskaja małodioż!” Sedlaczek zakomenderował: „Wolny krok, w przeciwną stronę patrz!”. Tamten spał konia ostrogami i pognał „pod włos pochodu”.

W kilka dni potem i ja dostałam mundur, dostałyśmy obie z Milą, i to nie byle jaki mundur, bo na epoletach miał litery S.N.H., co znaczyło „Sztabowa

Naczelnictwa Harcerskiego” (z dodatkiem w dokumentach: „na Ukrainę”) oraz granatowe akselbanty. Taka sama była męska drużyna; ich patronem był Tadeusz Kościuszko, a drużynowym Biega (imienia nie pamiętam). Naszą patronką była Emilia Plater, a drużynową Korsakówna (imienia również nie pamiętam).

Na pierwszym wieczorku harcerskim, na którym Zbyszek był adiutantem komendanta placu, ja z kolei byłam jego „adiutantem”, a moja funkcja polegała między innymi na tym, że nosiłam za nim stoik z klejem do naklejania różnych napisów informacyjnych, jak „bufet”, „szatnia” itp. Oczywiście byłam przejęta swoją funkcją tak dalece, że się o coś potknęłam, przewróciłam się i oblałam klejem i choć brat klej natychmiast zmył wodą, tym niemniej mundur z całego frontu był mokry nie tylko od wody, ale i od łez.

Byłam najmłodszą w drużynie, ale nigdy nie dawano mi tego odczuć. Moja drużynowa traktowała mnie zawsze z całą powagą i na równi ze starszymi druhnami. Nieraz dostawałam polecenia zawiadomienia o zbiórkach w najdalszych dzielnicach miasta, jak „Padół”, a przy tym była to dzielnica zamieszkała w dużej mierze przez nieciekawą ludność. Kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje na wieś, dostawaliśmy na piśmie urlop.

Jeśli chodzi o mnie i Milę, to nie miałyśmy bynajmniej urlopu od zajęć harcerskich, o które dbał dla nas Zbyszek. Trenował nas w najrozmaitszych „cnotach” harcerskich, jak odwaga, prawdomówność, wytrwałość itp. Na przykład nie wolno nam było usiąść ubierając się, buty należało nakładać najpierw na lewą nogę, i tą nogą robić zawsze pierwszy krok. Niewątpliwie były to głupiutki ćwiczenia, tym niemniej wyrabiały jakąś autodyscyplinę.

Jeżeli chodzi o warunki bytowania, to po „Marcowej Rewolucji” dla nas dzieci nie było żadnej odczuwalnej różnicy w bytowaniu. Nasz majątek Budyszczce leżał między dwiema wsiami: Pionkami i Dyrzynem Małym (Gubernia Czernihowska, Gardnianskowo „ujezda”). Z chłopami ukraińskimi mieliśmy zawsze dobre stosunki i takie też zostały po siedemnastym roku. Chłopi pamiętali ojcu, że zawsze każdemu podawał rękę i prosił siedzieć. Od czasu do czasu pojawiały się w okolicy jakieś bandy, które chłopci szybko likwidowali.

Kiedy po powrocie na zimę do Kijowa na jesieni wybuchła rewolucja „Październikowa”, ogólnie sytuacja się pogorszyła. Ulice stały się niebezpieczne, coraz częstsze wiadomości o aresztowaniach. W Kijowie pojawiła się jakaś postać kobiety - rewolucjonistki imieniem Róża; chodziła w skórzanej kurtce z rewolwerem u pasa i urzędowała polowania na oficerów, którym kazała stawać pod ścianą i strzelała do nich z rewolweru. Krążyła opo-

wieść, że kiedyś natknęła się na jakiegoś marynarza, który na rozkaz stanięcia pod ścianą rzucił jej: „A czoł ty durna w upor strelat nie umiesz?!” (a czoł ty durna w chodzie strzelać nie umiesz?), jak wieść mówiła Róża zbaraniała i marynarz ocalał.

Wojna domowa przybierała na sile. Kijów przechodził z rąk do rąk i Chmielnicki na pomniku na wyciągniętej buławie coraz to inną trzymał flagę: to niebiesko-żółtą Ukrainy, to czerwoną.

Moi bracia chodzili już do polskiego gimnazjum, potocznie zwanego „Na Ryłskim”, bo mieściło się na Ryłskim „piereułku”. Piereułki były to przeważnie uliczki bez ruchu kołowego, łączące dla pieszego ruchu dwie lub nawet kilka ulic, a swą nazwę brały od jednej z nich.

Kijów stawał się coraz bardziej niebezpieczny i rodzice postanowili jeszcze przed końcem roku szkolnego wyjechać na wieś, gdzie chłopcy mieli pod kierunkiem korepetytora, który miał jechać z nami, kontynuować swoje nauki. Ojciec zostawał w Kijowie, ponieważ oficjalnie pracował we Wszechrosyjskim Ziemskim Zjednoczeniu, które zajmowało się zaopatrzeniem frontowych wojsk, a nieoficjalnie był członkiem POW i z racji swego oficjalnego zajęcia dużo rozjeżdżał, pełniąc w ten sposób funkcję kuriera.

Matka po przyjeździe do Budyszcza - wezwała już istniejące Komitety w obu sąsiednich wsiach, oznajmiła im, że ona z dziećmi może obrobić tyle to a tyle ziemi, do tego potrzebne jest jej pięć koni, takie to a takie narzędzia, jedna krowa, kilka świń, a resztę mają podzielić między siebie obie wiejskie społeczności; oraz oddaje im dwa młyny do podziału z tym, że zastrzega dla siebie darmowy przemiał zboża. Łąki dostają „z trzeciej” to znaczy, że po sianokosach przez nich przeprowadzonych jedna trzecia siana nam przypadnie. Oba Komitety przystały na wszystkie propozycje Matki i komitety została jak najlepsza. Dowodem tego może być fakt, że kiedyś, kiedy Mama wysłała korepetytora (jedynego dorosłego mężczyznę) do Kijowa, ponieważ od dłuższego czasu nie miała żadnych wiadomości od Ojca (poczta chodziła już bardzo nieregularnie), to chłopcy przychodzili do nas na noc, ponieważ coraz częściej grasowały bandy, często podające się za jakieś władze rewolucyjne. Kiedyś taka banda zawitała do Dyruczyna Dużego (wieś trochę dalsza od Dyruczyna Małego). Okazało się, że mają nas na liście, jesteśmy na drugim miejscu po jakimś Merpercie, naszym najbliższym sąsiedzie (pochodzenia żydowskiego ożenionym z Ukrainką). Nasi chłopcy całą bandę zaprosili do karczmy, gdzie dowódcę spoiłi do nieprzytomności i jeden z młodych parobczaków zaofiarował się, że go zastąpi. Myśmy byli uprzedzeni o obecności tej bandy, ale jakież było zdziwienie Matki, kiedy w dowódcy wjeżdżającego na dziedziniec oddziału rozpoznała znajomego chłopca.

Ten mrugnął znacząco na Matkę i rozpoczął „rewizję”, wykpiwając wszystkie w stosunku do nas wysuwane zarzuty, a że cała kompania była mocno pijana i niezupełnie rozumiała co i jak, po półgodzinie odjechali. Zaś chłopak, który „zastąpił” komendanta, zgłosił się nazajutrz do Matki z prośbą o pokrycie kosztów wódki, co oczywiście otrzymał.

Innym razem jakąś bandę również spili, powiązali ją i odstawili do Snowska; była to stacja kolejowa i posterunek nowej Milicji.

Matka nie tylko była zapraszana na wesela, ale proszono ją przed cerkiewnym ślubem o błogosławieństwo nowożeńców.

Tak wyglądały nasze stosunki z chłopami, natomiast w rodzinnym życiu sprawy przedstawiały się następująco: wszyscy poszliśmy do poważnej codziennej roboty. Kobietom, ani mężczyznom nie wolno było wynajmować się do nas do pracy, było to srodze zakazane, natomiast wolno było pomagać sobie wzajemnie po sąsiedzku, więc np. kobiety przychodziły pomagać Matce pielnić ogród, a Zbyszek z Miłą orali ogrody kobietom, których mężowie byli na wojnie. W domu każdy miał wyznaczony odcinek pracy: budziła nas wszystkich rano Matka, po czym szła do kuchni szykować śniadanie, ja nakrywałam do stołu, Zbyszek z Miłą obrządzali świnię, a Danuś (Bohdan) z korepetytorem konie i krowy. Po śniadaniu każdy dostawał jakieś bieżące zadanie, natomiast do mnie należało zmywanie po śniadaniu i postanie wszystkich łóżek (może dlatego do dziś nie lubię tego zajęcia). Kiedy przychodziły cięższe roboty w polu, jak np. kopanie kartofli, ja jako najstarsza fizycznie zostawałam w domu i gotowałam obiad. Matka przygotowywała mi na stole w kuchni wszelkie produkty, mówiła co po czym gotować, czy smażyć i zostawałam sama. Miałam wtedy 10 lat. Pracowaliśmy wszyscy i na serio. Ale Matka nasza traktowała nas, jak pełnoprawnych partnerów. Nigdy nie podjęła żadnej poważniejszej decyzji bez zwołania uprzednio narady składającej się z nas wszystkich, każdy miał prawo głosu, nawet ja smarkula i nigdy żaden głos nie był przez Matkę bagatelizowany lub lekceważony.

W pewnym momencie nasze grono powiększyło się, a mianowicie Ojciec „podrzucił” nam uciekiniera z rosyjskiej niewoli; legionistę z armii austriackiej. W naszym zespole objął stałą funkcję „nastawiania” samowaru i pasienia koni. Był oczywiście na fałszywych papierach i dopiero w wiele lat potem, już w Niepodległej Polsce, Zbyszek w jakimś tournée (w dorosłym życiu był aktorem: Zbyszko Sawan) spotkał go i dowiedział się jak właściwie się nazywał.

Na jesieni Matka postanowiła wracać do Kijowa, ażeby chłopcy mogli w szkole zdać egzaminy z przerobionego w domu materiału i ewentualnie uzyskać zgodę szkoły na kontynuowanie dalszej nauki na wsi, gdzie Jej zdaniem byliśmy bezpieczniejsi.

Mama z panem Lucjanem (ów uciekinier z niewoli), z chłopcami i Miłą wyjechali, a ja z korepetytorem panem Leonem zostałam, miałam czekać na ich powrót. Przed wyjazdem dwie robocze klacze zostały sprzedane, natomiast trzy nasze ukochane dziecinne kuce zostały oddane chłopom, z tym zastrzeżeniem, że kiedy Matka wróci, konie wrócą do nas. Dwa z nich - „rodzeństwo” (tzn. po jednych rodzicach), własność moich braci, poszły do Małego Dyruczyna, natomiast mój Chochlik do Dużego Dyruczyna. Wszystkie trzy były u nas od żrebaka. Nadto Matka uzgodniła z Komitetami, że zabudowania gospodarskie, które nam już nie będą potrzebne, chłopcy rozbiorą i zabiorą sobie.

Ja jedna z rodzeństwa widziałam „zagładę” naszego ukochanego Budyszcza. Pewnego dnia siedzieliśmy z panem Leonem w kuchni przy śniadaniu, gdy nagle usłyszeliśmy jakieś rozpaczliwe rżenie konia, wybiegliśmy na kuchenny ganek i tego nigdy nie zapomniłam - na podwórko wpadł mój Chochlik i na oślep popędził do stajni,.... której już nie było, stanął osłupiały, po chwili pognął w stronę pastwiska. Słychać było tylko rozdzierające rżenie, po chwili wrócił na podwórze, podbiegł pod ganek i rżał jakimś przeraźliwym rżeniem. Pan Leon, który przecież nie był uczuciowo tak, jak ja związany z tym koniem, zaczął krzyczeć do kręcących się przy rozbiórce ludzi, by zabrali konia, bo on go zastrzeli. Co się ze mną działo to trudno opisać, już nie płakałam, lecz dostałam spazmów. Chochlika zabrano i więcej nie wrócił.

W niedługim po tym czasie przyjechał po mnie znajomy rodziców, by zabrać do Kijowa. Wtedy zrozumiałam, że to już koniec Budyszcza...

Wiadomość o moim wyjeździe jakoś szybko dotarła do Dyruczyna i kilka kobiet przybiegło z „gościńcami dla detyny”, nanosiły mi kilka woreczków „siemieczek” i na drogę kawał słoniny. A kiedy rankiem następnego dnia, jadąc jeszcze naszą bryczką, ale już nie naszymi końmi, spotkaliśmy idące do pracy w polu kobiety, zatrzymały nas, że jeszcze na pożegnanie chcą mi zaśpiewać. I śpiewały „Wijut wity”, „Bałamuty wyjdź z Chaty” i inne rzewne ukraińskie dumki. A trzeba powiedzieć, że naród tam jest niesłychanie muzykalny. Jeżeli któraś z dziewczyn zaintonuje piosenkę, to śpiewa pierwszym głosem, druga drugim, a trzecia trzecim; natomiast kiedy ta trzecia zacznie następną piosenkę, to będzie śpiewać pierwszym, a tamta pierwszym czy drugim - jak popadnie.

W Kijowie nastroje były już bardzo niedobre; na ulicach było coraz niebezpieczniej. Pomijając ogólną wojnę domową, odchodziły jakieś grupowe

rozgrywki zbrojne, uliczne. Aresztowania wzmagaly się i właściwie nie było wiadomo jaka jest ich linia. Wiadome było tylko, że wszystko jest skierowane przeciwko burżujom, ale nigdy nie było wiadomo kto nim jest, bo mógł to być równie dobrze mały sklepikarz, jak profesor lub „kamienicznik”.

Chmielnicki coraz częściej zmieniał chorągiewki na buławie aż wreszcie zawisła na niej flaga niemiecka. Niemcy zajęli Kijów. Jedną z pierwszych czynności Niemców było otwarcie na widok i zwiedzanie publiczne „Czerezwyczajki”. Ludzie tłumnie chodzili to oglądać, a to co opowiadali potem mroziło krew w żyłach. Jedna ze znajomych Mamy przyszła do nas wprost po bytności w tym nieludzkim przybytku. Zaczęła opowiadanie od tego, że widziała wannę przysposobioną do gotowania w niej ludzi żywcem; Matka przerwała prosząc, by więcej nie mówiła, bo nie chce o tym słyszeć. Inni ludzie opowiadali równie potworne rzeczy, ale najstraszniejsze było w tym to, że różne wymyślne tortury były nie po to, by wydobyć z nieszczęsnych ofiar zeznania, czy przyznanie się do czegoś, nie, to wszystko było w ramach zemsty na „burżujach”.

W styczniu 1919 roku Ojciec pewnego dnia zawiadomił Matkę, że zdobył dla naszej rodziny zarówno tej z krwi, jak i z przypadku, a była to Miła, jej rodzice oraz siostra Ojca, bilety na ostatni odchodzący transport niemiecki do Polski. Natomiast on sam zostaje, by zlikwidować mieszkanie; było w nim wiele cennych rzeczy, jak porcelana, obrazy, dywany itp. Znajomi dowiedziawszy się o naszym wyjeździe zaklinali byśmy brali ze sobą tylko tyle rzeczy, ile można unieść, gdyż w Hołubach, gdzie było trzeba się przesiadać do innego pociągu (różnica szerokości torów), nie ma tragarzy, a jest mało czasu na przesiadkę. Wzięliśmy więc tylko tyle, ile każdy z nas mógł unieść, Matka trochę biżuterii pozaszywała nam w zimowe palta.

I tak się zamknął jeden rozdział życia naszej rodziny.

Ojciec przeżył i z czasem również przyjechał do nas, ale z mieszkania nie uratował niczego. Wszystko było spakowane, obrazy, dywany, matczyzna kolekcja kilimów były w skrzyniach, w których co roku wędrowały między Kijowem a Budyszczem, meble tapicerskie, poobszywane w tak zwane „rogoże” itd., itp. Wszystko miało to iść na przechowanie do firmy przewozowej Hollaka i kiedy było już załadowane na samochód, zjawili się jacyś przedstawiciele władzy i skonfiskowali to, co było już na samochodach oraz to, co jeszcze zostało w mieszkaniu, łącznie z Ojca osobistymi rzeczami. Odszedł sprzed domu tak, jak stał, ale nie sam, bo z naszym ukochanym psem szkockim owczarkiem Marsem.

Paryskie impresje

Paryż urzeka nas o każdej porze roku, ale przed świętami Bożego Narodzenia przypomina miasto z bajki.

Ulice udekorowane są mnóstwem choinek ubranych kolorowymi bombkami, ozdobami, kokardami, lampkami lub na biało - ośnieżone sztucznym śniegiem. Wiele wystaw przystrojonych jest różnymi scenkami z bajek, opowieści, w których ich bohaterowie poruszają się w różnych taktach. Są sceny ze zwierzętami, krasnalami, na jednej z wystaw mały dyrygent prowadzi orkiestrę tak, że instrumenty poruszają się, wydając odpowiednie dźwięki.

Wzdłuż Pól Elizejskich, od Łuku Triumfalnego do Placu Zgody (Concorde), na wszystkich drzewach rosnących po obu stronach alei, wieczorem świecą się tysiące jasnych lampek, stwarzając niepowtarzalny efekt. Lampki oświetlają również drzewa i świerki rosnące w różnych punktach Paryża.



WIEŻA EIFFLA - WIDOK Z TROCADERO

fol. A. Pilarska

Szczególnie wiele ich jest wokół kościoła świętego Eustachego i nowych Hal Targowych, zbudowanych w miejscu starych. Hale zmontowane kilkupoziomowo, głównie ze szkła z elementami stalowymi, zachwycają swoją ciekawą konstrukcją.

Świąteczne, bogate dekoracje zdobią zarówno wystawy wielkich magazynów przy Polach Elizejskich, jak i sklepików w pasażach handlowych przy tej bogatej ulicy. Nad wejściem do baru szybkiej obsługi Mac Donalda w sporych saniach siedzi obwieszony prezentami duży Święty Mikołaj. Trochę dalej nad wejściem do salonu Hippo Citroena na trzech poziomach migocą lampki na barwnie ubranych choinkach. Niezwykle imponująco prezentują się wielkie świerki na magazynach Galerii Lafayette. Ozdobą ich są duże różnobarwne kokardy, wieczorem pięknie podświetlone. W wielu miejscach słuchać dyskretnie rozbrzmiewające kolędy, które dodatkowo wzbogacają przedświąteczny nastrój. Jadąc ulicami Paryża zaskakują w wielu punktach niezwykle efekty świetlne, jak podświetlone choinki utworzone z fontann przy wjeździe do miasta z nowoczesnej dzielnicy La Defense, leżącej poza granicami administracyjnymi miasta (2 km). La Defense, „dzielnica XXI wieku”, położona na lewym brzegu Sekwany, szokuje wspaniałymi przestrzennymi rozwiązaniami urbanistycznymi. Punktem przyciągającym uwagę już z daleka jest nowoczesny, wielki łuk triumfalny. Po podejściu bliżej okazuje się, że boczne jego ściany są biurowcami. Pod łukiem fantazyjnie zawieszony dach nad estradą, na której odbywają się koncerty. Oszklonymi windami można wjechać na taras widokowy na szczycie łuku, skąd rozciąga się wspaniała panorama miasta i okolicy. Wiezorami łuk jest efektownie podświetlony.

Tuż obok wybudowano imponujący Pałac Krajowego Ośrodka Przemysłu i Techniki, gdzie kilka razy w roku odbywają się wystawy i salony specjalistyczne. Wewnątrz, obok hotelu, sal wystawienniczych, sieci handlowej i gastronomicznej, znajduje się również scena, na której mogą odbywać się pokazy mody i występy artystyczne. Pomiędzy piętrami kursują przezroczyste, okrągłe windy. La Defense to dzielnica bardzo wysokich wieżowców biurowych i mieszkalnych. Mieszczą się tutaj przedstawicielstwa największych światowych koncernów przemysłowych i handlowych. Na przykład wieżowiec „Fiata” liczący 178 m wysokości ma 45 pięter. Wieżowce mają ciekawe kształty i faktury elewacji. Pomiędzy nimi znajduje się rozległa

płyta o długości 1200 m, przeznaczona tylko dla pieszych. Na niej rozmieszczone są nowoczesne rzeźby i fontanny, gazony z piękną roślinnością, dodające uroku całej kompozycji osiedla. Jest tutaj również bajeczna, kolorowa karuzela, obracająca się w rytmie dawnych paryskich melodii. Takie urokliwe karuzele można zobaczyć w wielu miejscach Paryża: na Trocadero, pod Sacre Couer, w parku Vincennes, przy nowych Halach Targowych.

La Defense należy do miejsc najbardziej zaskakujących turystę w Paryżu. Paryż bowiem kojarzy się zawsze głównie z elegancją, modą, wspaniałymi zabytkami, sztuką, wąskimi uliczkami Montmartre, Montparnasse, pięknymi kościołami, wieżą Eiffla. A teraz fascynuje jeszcze i architekturą nowoczesną. Przykładem ciekawych, nowych rozwiązań jest również centrum naukowo-dydaktyczno-kulturalno-rozrywkowe w parku La Villette o powierzchni 55 ha. Miasteczko nauki, przemysłu i rozrywki zainaugurowało swoją działalność 13 marca 1986 roku w dniu przelotu komety Halley'a obok Ziemi. W kilkupiętrowym budynku ze szkła i stali dzieci i młodzież mają do dyspozycji różnorodne urządzenia techniczne, które mogą wprawiać w ruch zapoznając się jednocześnie z ich konstrukcją. Są tutaj m.in. rakiety kosmiczne, samoloty, samochody, dźwigi oraz komputery, telewizory, radia, kamery. Dzieci bawiąc się poznają tajniki techniki, co w przyszłości daje ciekawe efekty w różnych dziedzinach życia. Największym zainteresowaniem w La Villette cieszy się unikalna w świecie konstrukcja La Geode - kina w lustrzanej kuli o średnicy 36 metrów, obłożonej 6433 trójkątami ze szlachetnej stali, w której odbijają się niebo, zieleni i urządzenia znajdujące się wokół. Wewnątrz, na kulistym, sferycznym, gigantycznym ekranie o powierzchni 1000 m², widzowie oglądają filmy przyrodnicze w systemie projekcji Omnimax. Stwarza ona niezapomniane wrażenie jakby widz uczestniczył w akcji filmu. W każdym seansie może uczestniczyć 370 osób. Oglądając film „Niagara”, miałam niesamowite uczucie jakobym w niewielkiej łódce przepływała przez olbrzymi wodospad, bojąc się zalewających co chwilę ogromnych, rozbryzgujących się fal. Wiele osób kurczowo trzymało się poręczy wygodnych foteli. Na terenie parku wśród zieleni i fontann znajdują się również: hala wystawiennicza, sala koncertowa, konserwatorium muzyczne, urządzenia rekreacyjne (również dla maleńkich dzieci), a także bary, restauracje, sklepy, punkty informacyjne itp.

Paryż jest miastem wyjątkowym, wspaniałym, o niepowtarzalnym klimacie. To miasto, podziwiane i opisywane przez najwybitniejszych poetów i pisarzy, żyjące w paryskiej piosence, pokazywane w wielu filmach, nie da na pewno temu, kto raz je zobaczył, nigdy o sobie zapomnieć. Czwarte co do wielkości miasto świata (po Nowym Jorku, Tokio i

Londynie) nie przytłacza swoim ogromem, a jego zabudowa jest bardzo przejrzysta. Wiele uroku dodaje miastu płynąca przez nie Sekwana oraz znajdujące się na niej mosty. Przy jednym z nich, moście Grenelle, na wyspie oglądamy kopię znanej statui Wolności, witającej przybyłych do portu w Nowym Jorku. Oryginał wykonany przez francuskiego rzeźbiarza Bartholdiego był darem Francji dla Stanów Zjednoczonych w 1876 roku. Tuż obok na prawym brzegu Sekwany wznosi się elegancki, okrągły gmach Radia i Telewizji, a naprzeciwko, po drugiej stronie rzeki, zachwyca druga obok La Defense nowoczesna dzielnica XXI wieku - Front de Seine. Stoi tutaj 16 trzydziestopiętrowych wieżowców ze szkła i stali, efektownie mieniących się w promieniach słońca. Pomiędzy nimi znajdują się „wiszące ogrody”, w których latem mienią się różnymi kolorami kwiaty i krzewy. Budowlą, która góruje nad stolicą Francji, jest 320-metrowa wieża Eiffa. Wybudowana na wystawę światową w 1889 roku budziła mnóstwo kontrowersji, będąc dla jednych symbolem brzydoty, fascynując innych. Szczególnie pięknie wygląda wieczorem, gdy oglądana z pokładu statku spacerowego, oświetlonego kolorowymi światłami, wydaje się jakby wykonana była z ażurowej złotej koronki. Bardzo efektownie prezentuje się również tym, którzy oglądają ją z tarasu pałacu Chaillot przy placu Trocadero. Patrząc z tarasu, z lewej strony wieży, widać połączoną kopułę kościoła Inwalidów, połączonego z pałacem Inwalidów, dzisiaj Muzeum Armii. Od wieży Eiffla w kierunku kościoła prowadzą Pola Marsowe. Kościół Inwalidów uważany jest za jedną z najpiękniejszych świątyń francuskich, wzniesionych od czasów Renansansu. Tutaj w grobowcu zaprojektowanym przez Viscontiego spoczywa Napoleon. W bocznych kaplicach znajdują się sarkofagi dwu braci Napoleona, jego syna „Orlątko” oraz marszałków cesarza.

Z pałacu Inwalidów można przejść na Montparnasse. Tę część Paryża rozstawili malarze - cudzoziemcy, którzy chętnie zamieszkiwali tutaj od lat 80-tych XIX wieku. Byli wśród nich również Polacy, między innymi: Józef Pankiewicz, Stanisław Wyspiański, Tadeusz Makowski, Olga Boznańska, Józef Mehoffer. W centrum Montparnasse, przy Placu 18 Czerwca 1940 roku, stoi najwyższy biurowiec Europy - 210-metrowy, 58-piętrowy wieżowiec Montparnasse. Turyści mogą wjechać (po wykupieniu biletu) na 56 lub 58 piętro, gdzie znajdują się specjalnie oszklone tarasy widokowe. Można zobaczyć z nich regularną zabudowę miasta, promieniście rozchodzące się ulice. Spoglądając na Paryż z wieży Montparnasse nasuwa się refleksja, że układ urbanistyczny jest tak zharmonizowany, jakby tworzył go od stuleci ten sam architekt.

Spoglądając z góry zwraca uwagę pobliski cmentarz Montparnasse, który warto odwiedzić.

Stare nagrobki, dużo świeżych kwiatów, głównie jeszcze pięknie kwitnących fiołków alpejskich (połowa grudnia!) oraz wiązanki kwiatów sztucznych, do złudzenia przypominających naturalne. Na cmentarzu pochowanych jest wielu ludzi ze świata nauki i kultury. Można spotkać także nazwiska polskie. W dzielnicy Montparnasse mieści się chętnie odwiedzany przez tłumy klientów sklep Tati, w którym można zrobić całkiem niedrogo zakupy. Odzież, kosmetyki, artykuły gospodarstwa domowego, zabawki znajdują się w dużych pojemnikach lub na półkach, skąd można sobie „wyrzebać” coś interesującego. Dzielnica Montparnasse już w XVII wieku przyciągała do swoich zajazdów studentów z pobliskiej Sorbony. Idąc w jej kierunku można przejść przez Ogród Luksemburski oglądając w nim pałac Luksemburski. Niestety pałacu nie można zwiedzać, ponieważ mieści się tutaj obecnie senat. Park Luksemburski stanowi własność prywatną senatorów i teoretycznie w każdej chwili może być decyzją przewodniczącego izby zamknięty dla publiczności.

Na lewym brzegu Sekwany (tym samym, na którym znajduje się wieża Eiffla, Pałac Inwalidów i Montparnasse) mieści się również Dzielnica Łacińska. Na stokach wzgórza świętej Genowefy królują budynki słynnego uniwersytetu paryskiego - Sorbony. Przylega do nich kościoły uniwersyteckie, w którym znajduje się grobowiec Richelieu.

Długie, mroczne korytarze Sorbony, po których snują się zadumani studenci o różnych karnacjach skóry, stwarzają wyjątkowy klimat uczelni. Warto przejść się również kwadratowym dziedzińcem Sorbony, a następnie skierować swoje kroki na wzgórze świętej Genowefy, na Plac Panteonu. Został tutaj wzniesiony, na miejscu starego, zrujnowanego kościoła patronki wzgórza, nowy kościół św. Genowefy (1757-1780), nawiązujący do klasycystycznej architektury starożytnego Rzymu. W końcu XVIII wieku kościół przemianowano na Panteon, będący miejscem spoczynku wybitnych Francuzów. Przeniesiono tutaj prochy Woltera i Rousseau, obok których leżą również m.in. Viktor Hugo, Emil Zola, Louis Braille. Widoczna z daleka 83-metrowej wysokości kopuła Panteonu należy do charakterystycznych punktów panoramy Paryża. Przed Bożym Narodzeniem na placu, na tle Panteonu znajduje się świąteczna dekoracja, składająca się z ponad trzydziestu wysokich „ośnieżonych”, ubranych kolorowymi bombkami i lampkami świerków.

Przy Placu Panteonu, po przekątnej od wejścia do niego, trzeba odwiedzić kościół „Św. Stefana na Górze”. Bardzo piękny wewnątrz, ma sporadycznie tylko spotykaną renesansową, ażurową (z lat 1521-35) mównicę, przechodzącą pośrodku nawy głównej.

W Dzielnicy Łacińskiej, w południowej jej części, mieści się Instytut Radowy, wybudowany w 1912 roku z inicjatywy Marii Skłodowskiej-Curie,



PARYSKI KATARYNIARZ

fol. A. Pilarska

która prowadziła tutaj swoje wybitne badania i pracowała w nim do końca życia (1934). Na dziedzińcu rosną drzewa zasadzone przez polską laureatkę Nagrody Nobla, a jedna z okolicznych ulic nosi nazwę Piotra i Marii Curie.

Wędrując wieczorem po Dzielnicy Łacińskiej, będąc jeszcze pod wrażeniem Sorbony, Panteonu i ich otoczenia, nagle znajdujemy się w zupełnie innym świecie. W wąskich uliczkach, jak np. Mouffettard, pełnych oświetlonych, niewielkich sklepików, stoją uginające się stragany od najróżniejszych, często bardzo egzotycznych, produktów spożywczych. Owoce z wielu stron świata, świeże i suszone, mnóstwo gatunków serów o najdziwniejszych zapachach, znane i egzotyczne ryby i przedziwne owoce morza, bogaty wybór pinctwa, wielka różnorodność pięknie wyporcjowanych mięs, apetycznie pachnące wypieki zarówno pieczywa, jak i ciast oraz dużo innych smakołyków. Wszędzie kolorowe stroiki, gałazki, lampki oraz stoiska z zapakowanymi w podłużne siatki świeżymi, różnej wysokości świerkami, przypominają o zbliżających się świątach. Uśmiechnięci sklepikarze i właściciele straganów zachęcają klientów i przypadkowo przechodzących do kupna swoich wiktuałów. Jest to jeszcze jedno, zupełnie inne, egzotyczne oblicze wielkiego Paryża.

Na wprost Dzielnicy Łacińskiej, na Sekwanie, leży wyspa Cite ze słynną katedrą Notre Dame. Na placu przed świątynią znajduje się tablica z brązu z godłem Paryża, od której mierzy się odległości na szosach biegnących z Paryża. Jest to umowny środek zarówno stolicy, jak i całej Francji. Katedrę Notre Dame zbudowano w latach 1163-1345, przebudowano w połowie ubiegłego stulecia, wprowadzając wiele nowych elementów dekoracyjnych. Półmroczna wewnątrz, oświetlona pięknymi trzynastowiecznymi witrażami, nie mająca wewnątrz rzeźb ani obrazów, stwarza niezapomniane wrażenia.

Dwie płaskie wieże o wysokości 69 metrów widoczne są z wielu miejsc miasta.

Z wyspy Cite mostem świętego Ludwika przechodzi się na wyspę o tej samej nazwie. Na wyspie mieści się od 1853 roku Biblioteka Polska z Muzeum Adama Mickiewicza oraz słynny z historii Hotel Lambert - jeden z ważniejszych ośrodków polskiej emigracji. Niestety od 1975 roku, należy po 133 latach, kiedy był własnością Polaków, do barona Rotzylida. Ostatnio poprzez osłaniające hotel rusztowania jest niełatwy do odnalezienia, zwłaszcza gdy chce się znaleźć go na podstawie zdjęć lub rycin z przewodników. Ale niektórzy Francuzi, którzy mieszkają lub pracują na wyspie świętego Ludwika dłużej, uprzejmie pokazują jak do dawnej rezydencji księcia Adama Czartoryskiego dojść można.

Po zwiedzeniu dwóch wysp, które obchodzimy dookoła mostem Pont-Neuf, schodzimy na prawobrzeżną stronę miasta. Najpierw trzeba zajrzeć do byłej parafii francuskich monarchów - kościoła St. Germain l'Auxerrois. Codziennie o 14.00 zainstalowany na wieży elektryczny zegar z kurantem wygrywa znane francuskie melodie ludowe.

Wychodząc z kościoła, po przejściu ulicy na drugą stronę, znajdujemy się na Placu Luwru. Stoiemy przed wschodnim skrzydłem jednego z najwspanialszych muzeów świata. Pałac królewski, przebudowany na polecenie Ludwika XIV na galerię narodową udostępniony został zwiedzającym 6 XII 1681 r.

Każdego, kto po raz pierwszy odwiedza Luwr, zaskakuje nowoczesne wejście w kształcie oszkłonej piramidy, znajdujące się w centralnej części dziedzińca, wokół którego wznoszą się zabytkowe, barokowe budynki świątyni sztuki. Ruchomymi schodami zjeżdża się do podziemia, gdzie znajduje się centrum informacyjne, szatnie, kasy, kioski z wydawnictwami, sieć gastronomiczna, toalety, salka audiowizualna, w której można oglądać ciekawe filmy o eksponatach znajdujących się w muzeum i ich historii.

Żeby zwiedzić Luwr dokładnie, trzeba byłoby przychodzić tutaj przynajmniej kilkanaście razy i każdorazowo oglądać inny dział. Nie dysponując większą ilością czasu, warto wybrać sobie najbardziej interesujący fragment ekspozycji oraz pobieżnie przejść przez najciekawsze wnętrza, żeby mieć wyobrażenie o tym wielkim wspaniałym obiekcie.

Największe tłumy zwiedzających przyciąga zawsze słynna Mona Liza Leonarda da Vinci oraz inne jego obrazy, a także dzieła Rafaela, Rubensa i in. Wielkim zainteresowaniem cieszą się również ekspozycje rzeźby, szkła, porcelany, złotnictwa, a także część ukazująca mumie starożytnego Egiptu.

Idąc z Luwru przez Skwer Karuzeli w kierunku łuku triumfalnego zbudowanego w hołdzie Napoleonowi (w latach 1806-1807), wzorowanego na podobnej budowli w Rzymie, słyszymy dobiegającą dyskretnie muzykę. Rozglądając się dookoła widzi-

my w narożniku parkanu ucharakteryzowanego mima, który pokazuje urokliwe scenki z podkładem muzycznym z magnetofonu. Mim był tak sympatyczny i w tak nietypowej scenerii, że trudno było od niego oderwać oczy i odejść. Takie zaskakujące momenty czekają na turystę w wielu miejscach Paryża i dodają miastu wyjątkowego klimatu, który potrafią stworzyć tylko nieliczne miasta.

Za Łukiem wzdłuż Sekwany aż do Pałacu Zgody (de Concorde) rozciągają się Ogrody Tuileries. Nie dochodząc do Placu Zgody warto przejść przez most na lewy brzeg rzeki, by w Muzeum d'Orsay zobaczyć wspaniałą ekspozycję impresjonistów. Została ona przeniesiona tutaj w 1986 roku z dawnej Sali gry w piłkę, mieszczącej się w Ogrodach Tuileries, po drugiej stronie, od Pomarańczarni. Można tutaj zobaczyć obrazy takich wybitnych impresjonistów, jak: Claude Monet, Pierre Auguste Renoir, Paul Cezanne, Paul Gauguin, Pierre Bonnard, Edouard Manet, a także Vincenta van Gogha i wielu innych znanych artystów. Muzeum d'Orsay mieści się we wspaniale zaaranżowanej dawnej secesyjnej hali dworca kolejowego i posiada bardzo cenne zbiory sztuki.

Z Placu Zgody Polami Elizejskimi można dojść do Łuku Triumfalnego (tego bardziej znanego, kojarzonego się zawsze ze stolicą Francji), wybudowanego również na początku XIX stulecia, podobnie jak łuk przy Placu Karuzeli, obok Luwru. Po drodze, przy skrzyżowaniu Pól Elizejskich z Aleją Churchilla, z lewej strony widać dwa okazałe pałace noszące nazwy Wielkiego i Małego Pałacu, zbudowane w 1900 roku na wystawę światową. Dzisiaj mieszczą się w nich muzea.

Najwyższym wzniesieniem miasta o wysokości 130 metrów i jednocześnie miejscem, które w Paryżu chce się jak najszybciej zobaczyć, jest Montmartre. Wędrując wąskimi uliczkami, mijając jedyną zachowaną tutaj jeszcze winnicę, zaglądając do uroczych przytulnych kawiarenek, odwiedzając niewielkie, ale posiadające swój klimat galerie, jak choćby Salvadore Dali, można wczuć się w nieprzemijający klimat Montmartre - tak bardzo ukochane miejsce przez wielu świetnych paryskich malarzy w końcu XIX i na początku XX wieku. Na niewielkim Placu du Tertre można spotkać jeszcze współczesnych malarzy, którzy na sztalugach mają rozłożone paryskie pejzaże lub proponują wykonanie portretów snującym się tutaj turystom. Największy urok ma Montmartre wieczorem, kiedy w wąskich uliczkach palą się stare latarnie, a na szczycie wzniesienia przyciąga wzrok pięknie podświetlona bazylika Sacre-Coeur. Spod zbudowanej ze specjalnego gatunku granitu, bielejącego w zetknięciu z powietrzem (1876-1919), świątyni rozciąga się wspaniały widok na piękny Paryż. Z Sacre-Coeur warto zejść najładniejszymi schodami Montmartre, znanymi z

wielu francuskich filmów na Plac Suzanne Valadon. W okresie grudnia zapach świerków, ciekawe stroiki z barwnymi światełkami spotkać można w różnych miejscach Montmartre. Poznając ten artystyczny zakątek artystycznej stolicy świata warto również zajrzeć pod znany kabaret Moulin-Rouge i przejść przez Plac Pigalle. W tej części Montmartre zlokalizowano wiele sex-shopów, lokali rozrywkowych i strip-teasowych. Jest to kolejne, jeszcze inne oblicze Paryża.

Poznając Paryż trzeba koniecznie odwiedzić Plac Vendome z kolumną o tej samej nazwie. Wokół placu znajdują się eleganckie, klasycystyczne domy, w których na parterach rozlokowało się wiele najdroższych i najekskluzywniejszych sklepów jubilerskich i banków. Tutaj również znajduje się słynny Hotel Ritz. W domu pod numerem 12 przy Placu Vendome 17 października 1849 roku zmarł Fryderyk Chopin. Pochowany został na cmentarzu Pere Lachaise, największym w Paryżu, bardzo pięknym, obok wielu wybitnych osobistości. Grób naszego wspaniałego kompozytora należy do najpiękniejszych na Pere Lachaise. Zawsze są na nim świeże kwiaty i można spotkać turystów z przewodnikami w różnych językach, szukających kwatery nr 11. Błądząc alejkami pośród starych drzew odnajdujemy groby znanych pisarzy, kompozytorów, malarzy, polityków, aktorów, przy których zatrzymujemy się z zadumą, uświadamiając sobie po raz kolejny, że „człowiek dopóty żyje, dopóki żyje pamięć o nim”. Na cmentarzu Pere Lachaise stoimy nad grobem Edith Piaff, zmarłej w 1963 roku i Teo Sarapo zmarłego w 7 lat po swojej wielkiej miłości. W uszach dźwięczy tak ekspresyjnie przez nich śpiewany „Hymn miłości”. Wśród wielu kwiatów leży pojedyncza czerwona róża. Takie róże przynoszone są tutaj ciągle od śmierci Edith od 30 lat. Trochę dalej pochowany jest Yves Montand obok swojej pięknej żony Simone Signoret. Również wiele kwiatów. Oglądając kolejne grobowce, słyszymy w



PRZY GROBIE J. MORRISONA

fot. A. Pilarska

pewnym momencie piosenki śpiewane z akompaniamentem gitary. Podchodzimy bliżej i oczom naszym ukazuje się niezwykle dla nas widok. Na kamiennej płycie stoją butelki z winem i piwem, wokół na kilku grobach siedzą młodzi ludzie i popijając trunki śpiewają piosenki. Jest to miejsce spoczynku ich idola J. Morrisona. Francuzi w różny sposób czczą pamięć tych, których kochali i podziwiali za życia. Tego dnia, gdy chodzimy po niezwyklej nekropolii, pada deszcz. Do tej pory przez sześć dni świeciło piękne słońce, było bezchmurnie, co o tej porze roku nie zdarza się zbyt często. Może więc ten deszcz wyraża nasze uczucia, że tak żal tych, którzy przeszli w smugę cienia.

Melomani, ceniący sobie najbardziej muzykę operową, nie mogą zapomnieć o odwiedzeniu Teatru Opery przy Placu Opery. Wystrój teatru wzniesionego w II połowie XIX wieku imponuje bogactwem i przepychem, zarówno we wnętrzach, jak i zdobieniach bryły budynku.

Operę można zwiedzać w godzinach przed i wczesno popołudniowych, ale najlepiej wybrać się na przedstawienie i wtedy zobaczyć imponujące wnętrza. Najtańsze bilety można przy odrobinie szczęścia kupić w kasie za 30 franków i mieć możliwość wczucia się w atmosferę spektakli w stolicy Francji. Zaskakuje gorące przyjmowanie artystów przez publiczność, która długo wiwatuje i wywołuje wielokrotnie śpiewaków i tancerzy.

W 1989 roku zainaugurowała swoją działalność druga opera, usytuowana przy Placu Bastylli. Bardzo nowoczesna, wygodna, z doskonałą akustyką i klimatyzacją, przestronna. Oglądając Manon Lescaut podziwiałam wspaniałą, monumentalną scenografię gigantycznych rozmiarów, świetnych śpiewaków i warunki, jakie stworzono widzom.

Widoczność i słyszalność z każdego, nawet najdalszego miejsca, jest świetna. Nad sceną, na olbrzymiej tablicy świetlnej, wyświetlane są słowa libretta w języku francuskim i angielskim (wykonywana była oryginalna włoska wersja), ponieważ na widowni są ludzie z różnych stron świata. W czasie przerw można z tarasów widokowych na szóstym piętrze oglądać panoramę Paryża.

W hallach liczne telefony, barki, elegancka restauracja, stoiska z wydawnictwami książkowymi i fonograficznymi. Po obejrzeniu spektakli w pięknej i zabytkowej Operze oraz w nowoczesnej i wygodnej przy Placu Bastylli doszłam do wniosku, że na przedstawienia wołałabym chodzić do nowej, komfort dla oglądającego jest tu znacznie większy.

Będąc w Paryżu warto zobaczyć także kontrolerski ośrodek sztuki nowoczesnej - Centrum Pompidou. Sprawa dyskusyjną moim zdaniem może być tylko lokalizacja tego obiektu. Nowoczesny budynek, wykończony grubymi rurami na zewnątrz, szokuje w otoczeniu starych kamienic. Widziałam

bym go raczej w La Defense lub w dzielnicy Front de Seine, ale w tym mieście wszystko ma swój urok i może projektanci uważali, że sztuka nowoczesna musi się dzisiaj przeplatać z tradycyjną. Przed Centrum Pompidou zawsze niemal można spotkać młodych artystów studentów grających na różnych instrumentach, pokazujących scenki mimiczne, malujących, połykających ogień, bawiących się. Wewnątrz placówki prezentowane są wystawy, pokazy filmów, mieści się doskonale wyposażona we wszystkie dostępne wydawnictwa o sztuce biblioteka. Centrum Pompidou jest miejscem, które się podoba lub nie, ale nie można obok niego przejść obojętnie.

Na rekreacyjny spacer warto wybrać się do oazy rekreacji i rozrywki, czyli do Lasku Vincennes. Mieści się tutaj m.in. ogród zoologiczny, w którym w ciekawie zaaranżowanej scenarii można zobaczyć kilkanaście zgrabnych, urodziwych żyraf, pingwiny, kozice górskie oraz mnóstwo ciekawych okazów. Piękne drzewa, krzewy i kwiaty oraz 70-metrowej wysokości skała są wyjątkową oprawą dla tego miejsca, w którym można doskonale odpocząć.

Na pewno nie można wszystkiego zobaczyć podczas pierwszego pobytu w Paryżu. Bo trzeba tutaj wrócić, by zobaczyć to miasto i w innych porach roku, wspominając zawsze bajkowy Paryż przedświąteczny.

Paryż, ileż treści kryje to słowo. Czy jest gdzieś drugie miasto, mające tyle miejsc, o których nigdy się nie da zapomnieć.

Paryż, do którego chce się wrócić już w chwili wyjazdu z niego. Miasto, gdzie czuje się powiew dawnej historii i można przenieść się w przyszłość. Chodząc ulicami Paryża wzrok przykuwają nie tylko piękne zabytki, kolorowe wystawy. Zachwycają

ANNA PILARSKA

Niepełnosprawni turyści w Anglii

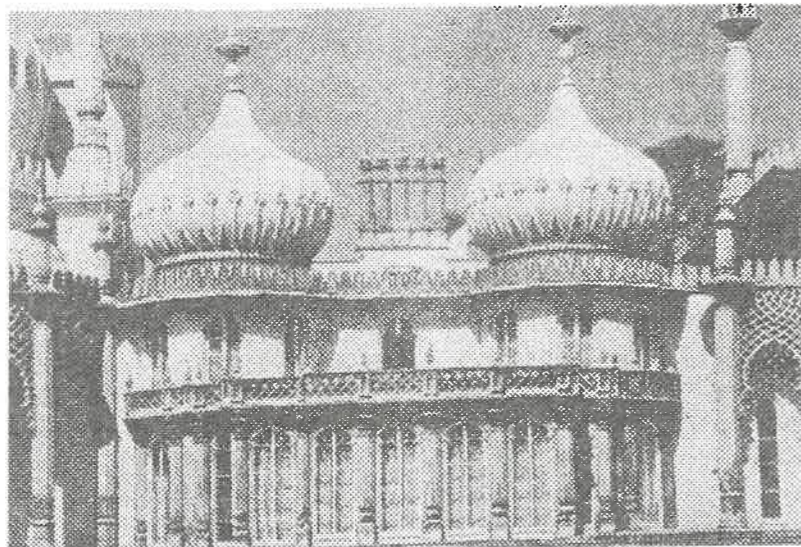
Każdy kraj, który odwiedziliśmy w swoich wędrówkach, kojarzy się nam później szczególnie z tym, co nas tam najbardziej zachwyciło, zadziwiło, zaskoczyło. W Anglii zafascynowała mnie organizacja turystyki dla osób niepełnosprawnych, szczególnie inwalidów na wózkach. Zwiedzając Londyn, Brighton czy rezerwat ptaków wodnych w Arundel, spotykałam grupy uśmiechniętych, pogodnych ludzi na wózkach inwalidzkich, którzy podziwiali zabytki, przyrodę, miejsca godne uwagi. Przyjeżdżali autokarami dostosowanymi do przewożenia wózków inwalidzkich z odpowiednimi, świetnie działającymi podnośnikami. Każdemu towarzyszyła życzliwie opiekująca się nim osoba.

również mieszkańcy tego miasta. Eleganckie, zadbane, ładnie uczesane i z gracją poruszające się kobiety, również te starsze, wytworni, równie jak paryżanki elegancy mężczyźni, na których z przyjemnością zatrzymuje się wzrok. I wspaniałe zapachy perfum unoszące się wokół. Paryżanie są grzeczni, kulturalni, chętnie pomagają turystom. Starszy, sympatyczny pan zapytany o Muzeum Impresjonistów nie tylko wskazuje nam drogę, odprowadza nas spory kawałek aż do hallu muzeum, gdzie wręcza nam informator w języku niemieckim (którym staramy się porozumiewać) i z uśmiechem odchodzi, życząc nam wszystkiego dobrego.

Zadziwiają nas panowie w garniturach, świeżych białych koszulach z krawatami bezbłędnie dobranymi do całości, przecierający przed otwarciem sklepów idealnie czyste szyby czy czyszczący maleńkimi odkurzaczkami pozbawione niemal pyłków wystawione na wystawach przedmioty. Dziwne miasto. Na jezdniach Paryża jest olbrzymi ruch, w godzinach kiedy ludzie jadą lub wracają z pracy tworzą się gigantyczne korki, słychać najróżniejsze chóry klaksonów - ale nie widać wypadków, wszystko stopniowo rozładowuje się i wraca do normalności. Trudno jest tylko zrozumieć, jak można wyjeżdżać i parkować samochody w tak nieprawdopodobnie bliskiej odległości, że często wydaje się, iż pomiędzy dwoma limuzynami nie zmieści się nawet włos. Ale okazuje się, że w Paryżu nie ma rzeczy i zdarzeń niemożliwych. Kolorytu miastu dodają również samochody i sprzęt do oczyszczania miasta. Wszystko - od szczotek do zamiatania ulic, poprzez pojemniki na nieczystości, ubrania osób sprzątających i samochody - ma ładny, jednakowy, jasnozielony kolor.

Teatry, muzea, urzędy, wyższe uczelnie, wejścia i wyjścia z przejść podziemnych metra itp. miejsca posiadają specjalne podjazdy dla wózków inwalidzkich i dziecięcych. Wycieczki osób niepełnosprawnych na równi z wycieczkami osób zdrowych odwiedzają miejsca przyciągające turystów i pozwalają im jednako cieszyć się pięknem otaczającego świata. Kaleska nie jest żadną przeszkodą w uprawianiu turystyki.

Oglądając pałac w Brighton, dyskretnie obserwowałam jedną z grup inwalidów. Z wyjątkową uwagą słuchali opowiadającego przewodnika i oglądali piękne wnętrza. Zadawali wiele interesujących pytań. Po zwiedzeniu wspaniałych sal: jadalnej z za-



PAŁAC W BRIGHTON

repr. E. Szkudlarek

bytkową chińską zastawą stołową z porcelany na kilkudziesięciu osobach, koncertowej, balowej, salonów i gabinetów, w których wszędzie w kominkach palił się ogień, wszystkich zauroczyła duża, przestronna kuchnia z rozpalonym piecem i smakowitymi zapachami różnych przypraw, owoców, jarzyn, pieczywa (oczywiście świeżych nie atrap). Wszystko na stołach leżało tak, jakby kucharze wyszli na moment i zaraz mieli wrócić i dalej przygotowywać obiad czy wieszczkę.

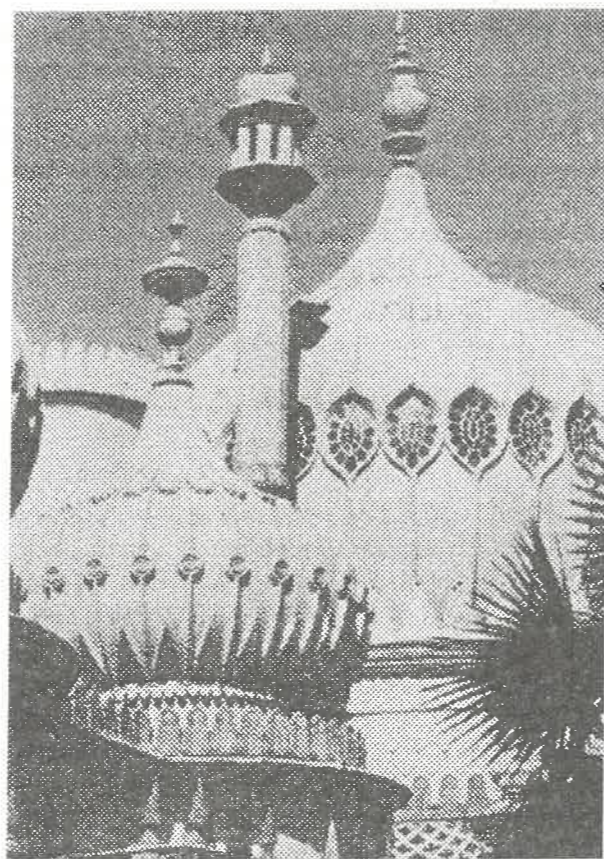
W urokliwym rezerwacie ptaków wodnych w Arundel grupa dwudziestu inwalidów na wózkach karmiła różnokolorowe ptaki ziarnkami, które specjalnie przygotowane dla skrzydlatych przyjaciół można kupić przed wejściem. Wokół słychać było śmiech i szczebiot.

Spoglądając na spokojne, zadowolone twarze turystów, którzy mimo swojego kalectwa mogą podróżować jak ludzie zdrowi, myślałam o tysiącach naszych polskich inwalidów, dla których często wydostanie się ze swojego mieszkania nawet na krótki spacer jest niemożliwe.

Wypada mieć nadzieję, że może wkrótce któreś z łódzkich uczciwych (bo niestety nie wszystkie są takimi) biur podróży wyspecjalizuje się w turystyce na razie chociaż krajowej dla osób niepełnosprawnych, do tych miejsc, gdzie nie trzeba wchodzić po schodach (gdyż specjalnych podjazdów nie doczekamy się z pewnością zbyt szybko).

Oprócz turystyki autokarowej dla osób niepełnosprawnych w Anglii organizowane są również wyjazdy pociągami na pielgrzymki, np. do Lourdes we Francji. Co roku wiosną wyrusza tam pociąg, w którym każdym pielgrzymem zajmuje się serdeczna, przeszkolona opiekunka (w ramach akcji charytatywnych). Imprezy takie trwają kilka dni i uczestniczą w nich często również osoby chore, zniedołężniałe, ale pragnące w takiej pielgrzymce uczest-

niczyć. Brak sił nie jest w tym wypadku przeszkodą. To co wydaje się zupełnie niemożliwe, nierealne u nas, w Anglii jest sprawą normalną i naturalną, bo przecież najważniejszy jest człowiek. Dlatego może Anglia kojarzy mi się przede wszystkim z wygodą i turystyką osób niepełnosprawnych, dla których kalectwo nie stanowi przeszkody w życiu i uprawianiu turystyki.



KÓPUŁY PAŁACU W BRIGHTON

repr. E. Szkudlarek

Uroki i zabytki Maroka

Kraj ten od dawna mnie fascynował i znalazł się wreszcie w moich planach turystycznych. Wycieczka odbywa się w drugiej połowie września. Do Maroka leciałam samolotem linii rumuńskich przez Berlin Wschodni, Lizbonę (międzylądowanie) do Casablanki.

Piękny jest widok Casablanki, kiedy szerokim łukiem nad oceanem podchodzi się do lądowania. Dominują trzy kolory: błękit morza, biel budynków i intensywna zieleń drzew, krzewów, w której po prostu tonie miasto. No i słońce, chylące się ku zachodowi, które topi swe prawie czerwone promienie w błękicie wody.

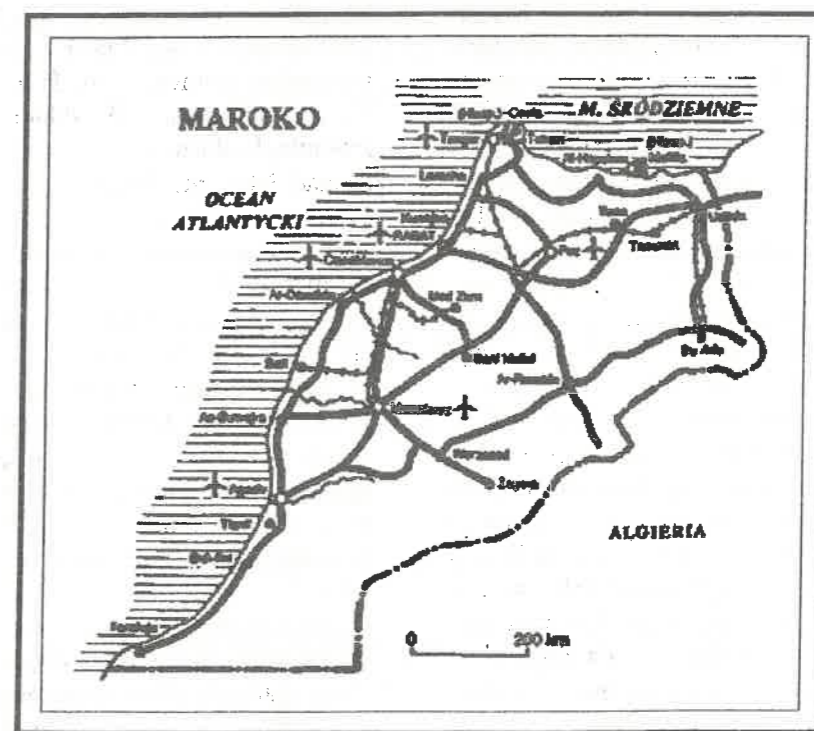
Lądujemy na lotnisku Mohammeda V. O tym władcy, bohaterze narodowym Maroka, usłyszymy podczas tej wycieczki jeszcze nie raz. Witają nas miejscowy przewodnik, dobrze odżywiony, młody Berber w białej dżelabie - Raszyd. Będzie nam towarzyszył przez cały czas naszej przygody z Marokiem. Mówi świetnie po francusku, a ponieważ niewiele osób z naszej grupy zna ten język, jego informacje muszą być tłumaczone przez naszego pilota pana Jerzego. Zostajemy zakwaterowani w centrum, w hotelu „Transatlantique” przy rue Colbert. Brak tu klimatyzacji, ale nie jest to duży mankament, gdyż temperatura o tej porze jest zupełnie znośna, około + 25°C.

Następnego dnia po śniadaniu zwiedzamy miasto autokarem. Jest to autokar prywatny i w nim będziemy przemierzać całe Maroko.

Casablanca jest stolicą ekonomiczną tego państwa, drugim portem w Afryce po Durbanie, a największym w Maroku. Liczy ponad 2,5 mln mieszkańców. W tym mieście znajduje się najdłuższy bulwar - Królewski i największy meczet w państwie. Niestety jak się okazało, na terenie całego Maroka wstęp do meczetów jest zabroniony dla wyznawców innych religii poza islamem. Podobno powodem wydania takiego zarządzenia było niewłaściwe ich zachowanie w świętych murach.

Rozwój tego miasta był szybki, gdyż jeszcze w 1907 r. było niewielką 20-tys. osadą. Poza tym, że jest olbrzymim portem, jest również wielkim centrum przemysłu: spożywczego, włókienniczego, papierniczego, obuwniczego, metalowego i chemicznego. Mieszczą się tu także wielkie zakłady montażowe samochodów firm zachodnich, cementownia, rafinerie ropy naftowej. Istnieje też świetnie rozwinięta sieć usług (banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i okrętowe, hotele, restauracje itp.).

Casablanca jest to rzeczywiście, zgodnie z nazwą, piękne, białe miasto o ciekawej architekturze, która mimo nowoczesności, zwłaszcza w centrum,



MAROKO

charakteryzuje się elementami wschodnimi, arabskimi, andaluzyjskimi. Nie jest to budownictwo proste jak u nas, ale zawierające załamania, tarasiki, kolumnienki, elementy koronkowe. No i jakie wykonawstwo, jakie wykończenie. Wzrok odczuwa radość z patrzenia na te cuda w obramowaniu zieleni i różnych odcieni koloru kwiatów, które otaczają każdy dom, pną się po każdym murze i kwitną cały rok. Są to w większości bougainville (Bougainvillea Willd. Nyctaginaceae), sadzone tu w wielu odmianach i gatunkach. Nazwa ich pochodzi od XVIII-wiecznego żeglarza francuskiego (1729-1811), który odbył podróż dookoła świata w latach 1766-69. Dzięki udziałowi w tej wyprawie przyrodników, była to jedna z najważniejszych podróży naukowych XVIII w. Kwiaty te charakteryzują się różnym odcieniem różu, od blad różowego do intensywnej czerwieni i kwitną pękami, są bardzo dekoracyjne. Oczywiście rosną tu i inne krzewy i kwiaty jak pelargonie, dochodzące do wys. 2 m, araukarie, rododendrony, eukaliptusy, ficusy, no i wszędobylskie palmy różnych gatunków.

Przejeżdżamy przez dzielnicę rezydencjonalną Marife, której domy otoczone są pięknie utrzymaną zielenią trawników i bogactwem kwiatów, przez dzielnicę bankową, towarzystw ubezpieczeniowych i inne. Zatrzymujemy się przy targu kwiatowym z różnymi egzotycznymi dla nas odmianami. Wsiadamy na chwilę, aby nacieszyć oczy niespotykanyymi u nas kształtami i barwami tych roślin. Sprzedawcy są bardzo uprzejmi, chętnie wręczają kwiaty, aby zrobić sobie z nimi zdjęcie.

Podjeżdżamy następnie do rezydencji królewskiej. Niestety pałaców królewskich w Maroku też się nie zwiedza, od czasu zamachu na króla Hasana II w 1972 r. Następnym obiektem, który nareszcie zwiedzamy jest kościół katolicki pod wezwaniem Matki Boskiej z Lourdes, wybudowany w 1959 r. Z lewej strony, przed wejściem do kościoła znajduje się replika grotty z Lourdes. Świątynia ta ma piękne, kolorowe witraże. Największym kościołem katolickim w Casablance jest „Sacre Coeur”, ale nie możemy go zobaczyć, bo jest w remoncie. Podjeżdżamy do wspomnianego już największego meczetu, zatrzymujemy się tu na parę minut, oglądamy jego ciekawą wschodnią architekturę, podziwiamy ogrom tego obiektu rzeczywiście godnego uwagi, robimy zdjęcia. Naprzeciwko meczetu, po drugiej stronie autostrady jest widoczny duży ośrodek rekreacyjny nad morzem, kawiarnie, baseny, kluby nocne, piękna plaża, jakich nie spotyka się w innych częściach wybrzeża morskiego Casablanki, w większości kamienistych, a często wręcz z rozrzuconymi olbrzymimi głazami, które blokują dojście do plaży. Ze względu na brak czasu nie możemy obejrzeć tego ośrodka. Żałujemy ogromnie, bo chętnie skorzystalibyśmy z tak pięknej plaży.

Po kolacji wybieramy się na spacer po wspaniale oświetlonym mieście. Wzrok przyciąga luksusowy hotel „Casablance”, na którego frontonie patrzą na nas z olbrzymiego plakatu bohaterowie słynnego filmu o tej samej nazwie: Ingrid Bergman i Humphrey Bogard. Robimy małą wycieczkę po foyer hotelu, co za wspaniałą wystrój wnętrza. W centralnym punkcie okolone filarami jak w meczecie kawiarniane stoliki, na lewo od ronda wejście do chińskiej restauracji, aż kłującej w oczy czerwonym kolorem obić. Naokoło holu stoiska z wytworną konfekcją, biżuterią, pamiątkami. Przed hotelem pięknie utrzymane trawniki, kwitnące krzewy, pełno zieleni, czysto. Nieco w bok już trochę brudno, a za hotelem siedlisko biedoty, kalek, żebrzących, przykry widok. W drodze powrotnej długo spacerujemy pięknym, pieszym pasażem, cudownie oświetlonym, z andaluzyjską architekturą białych pałaców, bogatymi sklepami, palmami, ciepło.

Następnego dnia rano odjazd do Rabatu. Stolica Maroka jest oddalona od Casablanki ok. 100 km. Jedziemy autostradą, przy której jest wydzielony pas dla rowerzystów. Pobocza są oddzielone siatką dla wielbłądów, osłów i mułów. Przy autostradzie migają nazwy filii znanych zachodnich firm jak: Bayer, Volvo, Volkswagen i in. Za miastem zaczynają się lasy, cedry, dęby korkowe, sosny kalifornijskie, agawy, osty, kaktusy, palmy daktylowe, tuje. W czasie podróży Raszyd zapoznaje nas z Marokiem. To państwo ma 420 km wybrzeża Morza Śródziemnego i 1200 km Atlantyku. Od 1975 r. graniczy z Mauretanią. Jest krajem w większości pustynno-górzystym, z wyjątkiem wybrzeża, gdzie znajdują się obszary rolnicze. Uprawia się tam zboże, jęczmień, pszenicę, kukurydzę, a ostatnio dzięki nawodnieniu i ryż. Maroko jest obecnie samowystarczalne żywnościowo. Przez środek kraju przebiega pasmo Atlasu Wysokiego (ponad 4 tys. m) i równoległe do niego na północy Atlasu Średniego (ponad 3 tys. m). Między nimi niziny z rzekami, a na południu pustynia, stanowiąca część Sahary. Temperatura wody w lecie równa się temperaturze powietrza. W Atlantyku ważne miejsce dla kraju zajmują bogate łowiska sardynek, tuńczyka, langusty, homarów i krewetek. U ujścia rzeki Sus, która przecina AntyAtlas (południowa część Atlasu - wys. ponad 2500 m), znajduje się wielki port nad Atlantykiem - Agadir. W r. 1960 trzęsienie ziemi pochłonięło w tym mieście 10 tys. ofiar. W AntyAtlasie na wys. 1000 m są podobno ciekawe ryty naskalne. Musimy wierzyć na słowo, bo nie możemy ich zobaczyć.

Klimat w Maroku jest różnorodny, na wybrzeżu łagodny, na południu często subtropikalny. Zima z opadami. Pora deszczowa przypada na listopad-marzec. W Atlasie Wysokim przez pięć miesięcy leży śnieg. Na wys. 2 tys. m uprawia się

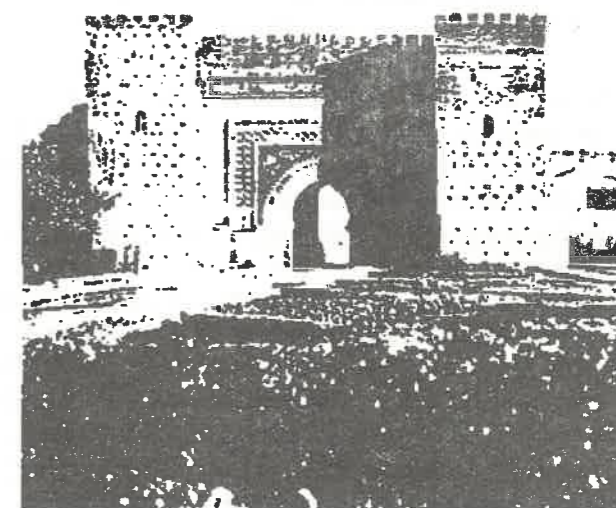
sporty zimowe. Latem w części centralnej temp. dochodzi do +47°, bardziej na południu np. w Marrakeszu do +51°. Zimą od +5 do +2,4°. W rzekach łąwi się karpie, szczupaki, sandacze. Na tych terenach wyginęły takie zwierzęta, jak krokodyle, strusie, słonie.

Liczba mieszkańców Maroka zbliża się do 40 mln, ale te dane szybko się zmieniają, gdyż przyrost naturalny jest bardzo wysoki ok. 3%.

Dojeżdżamy do Rabatu. Stolica liczy ponad 1,5 mln mieszkańców. Przy wjeździe zaskakuje nas przygnębiający widok slumsów. Miasto to otaczają mury obronne, gdyż jest to jedno z najstarszych miast Maroka. Zostało założone w 1150 r. przed dynastią Almochadów, a ufortyfikowane w XIV w. Wjeżdżamy przez Bramę Królewską, mijamy budynek konferencji islamskiej, dzielnicę gwardii królewskiej, ministerstwo spraw islamskich, siedzibę premiera. Zatrzymujemy się przed luksusowym hotelem „Terminus”, gdzie będziemy mieszkać. W sali jadalnej mile nas zaskakuje na jednej ze ścian olbrzymi, podświetlony obraz, przedstawiający powitanie przez króla Hasana II, papieża Jana Pawła II w Casablance w 1984 r. Podczas wizyty papieża król wydał zezwolenie na bezpłatny przejazd do Casablanki dla wszystkich, którzy chcieliby powitać głowę Kościoła katolickiego. Znalazło się podobno w tym mieście ponad 5 mln osób, głównie młodzieży. Zabrakło jedzenia i picia. Papież był witany i podejmowany niezwykle serdecznie. Było to spotkanie dwóch religijnych, duchowych przywódców, gdyż Hasan II jest uważany za głowę świata muzułmańskiego.

Po obiedzie zwiedzamy Rabat. Podjeżdżamy pod pałac królewski. Król jest w pałacu, świadczy o tym wywieszona flaga. Żałujemy, że wstęp do pałacu jest wzbroniony. Zresztą nie tylko wstęp, ale nawet podejście bliżej jak na 20 m jest źle widziane przez stojącą straż. Pałac został zbudowany w XVI w. i jest w kolorze kremowym, a dachówki, jak wszystkie urzędowe instytucje, ma w kolorze zielonym. Teren otaczający pałac liczy 42 ha. Mieści się tu również meczet i cmentarz. W dniu święta islamskiego, tzn. w piątek, król jedzie do meczetu karocą, ofiarowaną mu przez króla angielskiego, a wraca na koniu, taka jest tradycja. Przed pałacem straż zmienia się co 2 godziny. Latem ma białe stroje, zimą czerwone, ocieplane. Nad bramą pałacu widoczne wersety Koranu, wejście w stylu andaluzyjskim. Cały teren otoczony jest murami.

Hasan II, urodzony w 1929 r., jest królem Maroka od 1961 r. Jest synem Mohammeda V, z którym przebywał na wygnaniu na Korsyce i Madagaskarze w latach 1953-1955. W r. 1962 proklamował Maroko monarchią konstytucyjną (pierwsza konstytucja w dziejach Maroka). Jest zwolennikiem polityki neutralności, aktywnym działaczem arabskim, prze-



MEKNES BAB EL KHMIS

wodniczył Organizacji Jedności Afrykańskiej w latach 1972-1973. Często w jego kraju odbywają się spotkania przywódców świata arabskiego. Król skupia wszystkie nici władzy. W jego wyłącznej dyspozycji jest wojsko, jak i rząd, gdyż on mianuje premiera i ministrów, osadza wszystkie ważne stanowiska, podpisuje ustawy. Stoi na czele armii, ale teraz zastępuje go już najstarszy syn. Nie skorzystał z prawa Koranu, który zezwala na 4 żony. Ma tylko jedną, 2 córki i 3 synów.

Rabat jest oficjalną stolicą, ale król ma niejako cztery stolice, w których ma pałace. Jest to poza Rabatem jeszcze Fez, Meknes i Marrakesz. Przebywa również chętnie w Casablance.

Z terenu posiadłości królewskiej wyjeżdżamy przez najwyższą bramę zwaną Bramą Gwiazdy.

Rabat składa się z dwóch miast, z Rabatu i Sale, przy czym to drugie jest starsze, gdyż powstało w XI w., podczas gdy Rabat w XII w. Założone przez Berberów. Miasto otaczają mury dł. 5 km. Leży nad rzeką Turgrem, wypływającą z Atlasu. W w. XVI była tu republika piracka, ale Mulaj Ismail zlikwidował ją i włączył do Maroka.

Zwiedzamy mauzoleum Mohammeda V, które zostało wybudowane w ciągu 10 lat (1961-1971). Plafon mauzoleum jest pokryty kasetonami z 21-karatowego złota. Naokoło biegnie marmurowa balustrada, w dole mieści się sarkofag z kremowego marmuru, na podstawie z czarnego, boki zaś z połączonych płytek szarych, seledynowych i różowych, ułożonych w kształcie gwiazdy. Naokoło sztandary. W rogu znajduje się drugi, mniej okazały sarkofag syna Mohammeda V, który zmarł w 1983 r. w wieku 48 lat. Za sarkofagiem siedzi z podwiniętymi nogami duchowny muzułmański i czyta Koran, prawdopodobnie odprawia modły za dusze zmarłych.

Wnętrze mauzoleum przypomina Pałac Inwalidów w Paryżu, z sarkofagiem w dole Napoleona I.

Na zewnątrz z czterech stron stoi warta w białych mundurach, a za murem przy wejściach warta na koniach. Wartownicy są bardzo uprzejmi, pozwalają robić ze sobą zdjęcia. Oczywiście wszyscy z tego korzystają, gdyż konie są piękne, wiadomo araby, a jeźdźcy w oryginalnych mundurach wyglądają niezwykle dekoracyjnie.

Na obszarze mauzoleum stoją rzymskie kolumny i czerwona wieża Hasana z XIV w. Wieża ta w pierwotnym zamyśle miała być minaretem (w Maroku minarety są prostokątne), ale nie wybudowano przy niej meczetu, bo podobno zaślaniałyby widok na zatokę i teraz wieża jest punktem orientacyjnym Rabatu. Jadąc do hotelu przejeżdżamy przez dzielnicę żydowską, bieda. W Maroku jest dużo Żydów, choć nie widać ich na ulicach. Wypędzeni z Hiszpanii w XV w. znaleźli schronienie w Maroku.

Następny etap podróży to Meknes, oddalony od Rabatu o 250 km. Pada silny, ale krótkotrwały deszcz. Autostrada z pasmem dla motorów, rowców i oddzielnym dla pieszych po pewnym czasie zmienia się na drogę asfaltową, ale pobocza w dalszym ciągu są wydzielone dla wielbłądów, osłów i mułów. Mijamy byłe plantacje francuskie, a teraz gospodarstwa spółdzielcze. Raszyd lojalnie przyznaje, że produkcja spadła po tej zmianie. Dalej ciągną się lasy, w których rosną jagody i grzyby. Za lasem zaczynają się tereny uprawne, pomidory, melony, banany, winogrona, kaktusy. Te ostatnie (opuncje) mają znaczenie gospodarcze: miąższ z owoców jest spożywany przez ludzi, skorupy z owoców - krowy, a suszone kaktusy przeznaczają się na opał. Natomiast z włókien agaw, które są bardzo delikatne (sizal), szyje się ubrania.

W Meknesie mieszkamy w hotelu „Rif”. Meknes to stolica drzew oliwnych. Niektóre plantacje mają po 200 lat. Są tu też plantacje fig. Nazwa miasta pochodzi od berberyjskiego szczepu Meknesa, którego było centrum. Szczyci się rodowodem sięgającym X w. Po wiekach zapomnienia do dawnej świetności podniósł ją potężny sułtan Ismail, który obrał je na swą stolicę (XVII). Obecnie Meknes liczy ok. 650 tys. mieszkańców, z których większość chodzi w dżelabiach różnego koloru.

Zwiedzanie rozpoczynamy od Volubilis, 30 km od Meknesu. Są to sławne ruiny miasta rzymskiego z początku naszej ery, założonego przez króla Jubę II (żoną jego była córka Kleopatry i Antoniusza, Selena). Miasto zostało odkopane w 1914 r. Jest to olbrzymi obszar ruin łaźni, świątyń, części administracyjnej, części handlowej, domów mieszkalnych. Zachowały się oryginalne mozaiki. Duże wrażenie robi świetnie zachowany łuk Karakalli, uświetniający jego panowanie (II w.) z wizerunkami jego i jego żony w medalionach. Miasto było skanalizowane.

Po przeciwległej stronie od łuku Karakalli znajduje się Brama Tangeru, przez którą przybywały towary do miasta.

Do Meknesu wracamy przez Mulaj Idris (Mulaj - święty, wielbny). Jest to miejscowość pięknie położona na wzgórzu. Z daleka widać zieloną kopułę grobu Idrisa I - założyciela Meknesu i uznanego za świętego. Jego syn Idris II założył Fez (894 r.) i tam jest pochowany w meczecie. Mulaj Idris jest nazwane Mekką dla ubogich. Jest miejscem pielgrzymek, które odbywają się każdego roku we wrześniu. Kto nie może sobie pozwolić na wędrowkę do Mekki, udaje się tu.

Idris to według historii prapraprwnuk Mahometa, przedstawiciel islamu szyickiego. Uciekł on z Bagdadu w VIII w., gdzie toczyła się walka jego rodziny o władzę z drugą rodziną, wyznającą islam sunnicki (od VII w. schizma), a której przewodził Harum ar Raszid. Z tej walki z całej rodziny uratował się tylko Idris i udał się na zachód z grupą współziomków. Znalazł się w Maroku. Ożenił się z córką szefa Berberów, a po jej śmierci został ich przywódcą.

W Mulaj Idris mogą przebywać tylko muzułmanie. Nocują w hotelach, zajazdach lub pod namiotami, przypominającymi tureckie zdobyte pod Wiedniem. Jedzą w restauracjach, na ulicy, gdzie przyrządza się potrawy i pod namiotami, korzystając z przywiezionych zapasów. No i oczywiście modlą się. Nam udało się wjechać i zatrzymać na 20 min. za przyzwoleniem policji, która w tym olbrzymim tłumie pilnuje porządku, bo nie trudno tu o ekscesy. Bylibyśmy niepokieszeni, gdyby zabroniono nam wjazdu, gdyż jest to wyjątkowa atrakcja dla turysty. Jest to widok szalenie kolorowy, wszyscy wierni są bowiem ubrani w tradycyjne, kolorowe, arabskie stroje, wszędzie gwar, przelewające się tłumy, oblegane kioski wypełnione egzotycznymi towarami, pamiątkami, napojami, jedzeniem. Dużo pięknych koni, od których trudno oderwać oczy, wielbłądy, osły. Nastrój naszego kiermaszu-jarmarku. Liczni sprzedawcy oferują wyroby z kamieni półszlachetnych, amulety, naczynia miedziane, bogate uprząże dla koni, dywany do modlitw, owoce południowe. W nozdrza uderzają ostre zapachy gotowanych na ulicy potraw z przyprawami. Jest tu też dużo dzieci, nienajgorzej odzianych, niektóre z prądem czasu ubrane po europejsku. Widok tego miejsca jest tak urzekający swą egzotyką, że nie możemy nasycić wzroku migocącą zmianą barw na tle błękitu nieba. Jest tu też bardzo niebezpiecznie, lepiej nie wchodzić w tłum, bo można zostać bez pieniędzy, o czym lojalnie ostrzega nas Raszyd.

Wracamy do Meknesu pełni wrażeń z Mulaj Idris. Tu w medinie (stare miasto) udajemy się do grobu Mulaj Ismaila (XVII w.). Mauzoleum to jest połączone z meczetem i dlatego jest jedynym miejscem udo-

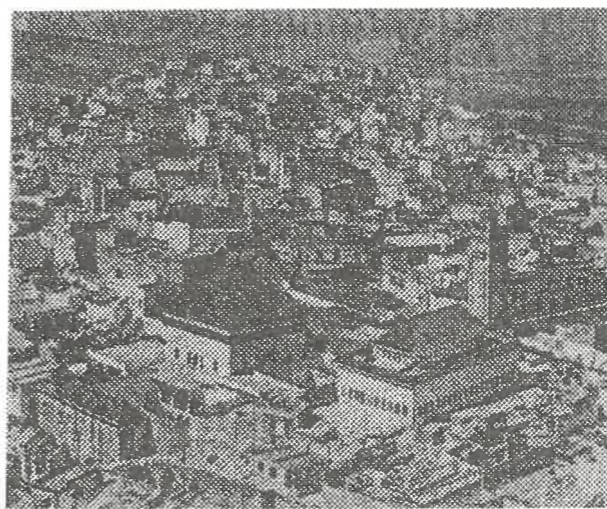
stępionym dla zwiedzających chrześcijan. W trzecim pomieszczeniu zdejmujemy buty zgodnie z wymogami i wchodzimy do mauzoleum. Leży tu Ismail i jego dwaj synowie. Trudno dojrzeć z czego zbudowane są sarkofagi, gdyż panuje tu gęsty mrok i przynębiająca atmosfera. Z przyjemnością opuszczamy to miejsce, aby znów nacieszyć się blaskiem słońca.

Z meczetu jedziemy przez dzielnicę żydowską, ale ta jest o wiele bogatsza niż w Rabacie. Jadąc dalej zatrzymujemy się na chwilę przed pałacem królewskim, który jest otoczony trzema pierścieniami murów grubości od 2 do 8 m.

Następnego dnia wyruszamy do Fezu, odpowiednika naszego Krakowa. Został założony przez Idrisa II w 808 r. On to wraz z ojcem zjednoczyli pod swym przewodnictwem liczne szczepy zachodniego Maghrebu i dali początek nowemu państwu. Po ich dynastii było jeszcze wiele innych. Hasan II pochodzi z dynastii Allawitów. Jest szeryfem, gdyż taki tytuł przysługuje przywódcom.

Do Fezu jedziemy godzinę. Mieszkamy w hotelu „Grand”, szumnie zwanym, bo nie jest ani wielki, ani luksusowy.

Fez jest intelektualną stolicą Maroka. Jest także miejscem kultu religijnego (grób Idrisa II). Główną ulicą jest Avenue Hasana II. Fez ułożono na skrzyżowaniu ważnych dróg handlowych, prowadzących z Maghrebu i Afryki tropikalnej do Maroka Nadatlantyckiego, co uczyniło z niego ważny punkt tranzytowy i pozwoliło rozwinąć się bogatemu kupiectwu. Wokół miasta ziemia była żyzna, świetnie nadawała się pod uprawę warzyw i owoców, zwłaszcza oliwek. Obfitowała w kamień budowlany i glinę ceramiczną. Poza tym przez dolinę, gdzie założono miasto, przepływała rzeczka (dopływ Sebu),



MULAJ IDRIS - MEKKA DLA UBOGICH

a do niej spływały liczne strumienie. Była więc i woda, cenne w tym klimacie bogactwo. Już w XIII w. powstała tu sieć kanalizacyjna, będąca jak na ten okres niezwykle osiągnięciem technicznym. Fez składa się jakby z 3 części, biorąc pod uwagę czas zabudowy: z mediny (VIII-IX w.), średniowiecznego (XII-XIII w.) i współczesnego. My udajemy się do mediny, części najciekawszej dla turysty. Prowadzi do niej brama niebieska - Bab Elzut. Dzisiaj piątek, a więc święto. Nie przeszkadza to w handlu. Przechodzimy obok bramy pałacu królewskiego, która jest obecnie rekonstruowana. Góra z mozaiki ceramicznej, w przeważającym kolorze złotym i niebieskim, samo wejście z brązu. Pałac pochodzi z XIV w. Medina ma tak wąskie uliczki, że objuczony osioł ledwie się przepycha. Jest taki gwar i tłum, że musimy się pilnować, aby się nie zgubić. Podobno jest to bardzo niebezpieczne, gdyż trudno znaleźć wyjście z tego labiryntu uliczek. Wchodzimy do sklepu rzemiosła artystycznego, oglądamy misy, talerze, wazony z brązu, ale nikt tu nic nie kupuje, bo ceny są dość wysokie. Raszyd jest pewnie zawiedziony, bo ominął go pewien procent od transakcji. Te same rzeczy można kupić o wiele taniej „z marszu”, bo wszyscy wszystko wciskają człowiekowi na siłę. Nie brakuje tu handlujących małych 4-5-letnich dzieci i to nie tylko chłopców, ale i dziewczynki, od których trudno się oderwać.

Wchodzimy do przedsionka meczetu z atrium, gdzie chwilę odpoczywamy od gwaru, tłumy i natrętnych sprzedawców. Jest upał. W przedsionku ciekawe motywy z drewna cedrowego oraz żyrandol ceramiczny z XVI w. ważący 500 kg. Dalej wejść nam nie wolno, a szkoda. Po dłuższym czasie przepychania się przez tłum, ustępując miejsca obładowanym osiołkom, co wcale nie jest łatwe, wydostajemy się na wolną przestrzeń, gdzie czeka na nas autokar. Ale i tu znajdują nas sprzedawcy, tym razem oferując dżelabie w różnych kolorach, haftowane złotą nitką. Jak można wyjechać z Maroka nie robiąc takiego zakupu?

W Fezie najpiękniejsze są madrasy, uczelnie islamskie. Najbardziej znaną jest Bu Inania, zbudowana w 1350 r. na polecenie sułtana Bu Inana. Podziwiamy dziedzińiec wyłożony białym i różowym marmurem oraz prążkowanym agatem, biel płaskorzeźb na murach pięknie kontrastuje z kolorowymi okładzinami z płytek fajansowych. Przez dziedzińiec marmurowym korytarzem przepływa mały strumyczek, dzieląc mdrasę od meczetu. Podobno wszystkie madrasy są podobnie budowane i wykończone, a więc oglądamy tylko tę jedną, ale podejżdzamy do jeszcze jednej, do Attariny, aby z jej wysokiego tarasu spojrzeć na wspaniałą panoramę Starego Fezu i przy okazji zobaczyć obok dziedzińiec meczetu Karauijn, na który przecież niemuzułmanom wstęp wzbroniony. Meczet ten został wybudowany w 862 r. i przez stulecia służył jako miejsce

studiów islamistycznych. Podchodzimy jeszcze do pobliskiego sanktuarium Mulaj Idrisa, oczywiście nie za blisko, gdyż wąska uliczka prowadząca do sanktuarium jest zapełniona żebrakami, przykucniętymi wzdłuż muru modlącymi się postaciami. Widzimy więc z daleka otwarte drzwi sanktuarium, za którymi można dojrzeć grób założyciela Fezu ukryty kapą, pod baldachimem.

Objedździemy jeszcze to piękne miasto, pełne wspaniałych budowli, meczetów (jest ich podobno 320), willi w stylu andaluzyjskim z charakterystycznymi, zabudowanymi balkonami (podobne są na Malcie). Każda dzielnica ma meczet, piekarnię, szkołę koraniczną dla dzieci i obowiązkowo fontannę. W Fezie powstał pierwszy uniwersytet na świecie w 859 r. ufundowany przez kobietę o imieniu Fatima. Nie możemy się dowiedzieć nic bliższego o niej. Żegnaj piękny Fezie. Szkoda, że mamy tak mało czasu i nie możemy pozostać tu dłużej.

Nazajutrz, wczesnym rankiem wyruszamy na najdłuższą trasę, liczącą 500 km, na południowy zachód do Marrakeszu. Jest coraz cieplej. Przy wyjeździe z Fezu dzielnica willowa. I znów piękne domy tonące w zieleni i kwiatach. Na horyzoncie Średni Atlas.

Fez - Marrakesz jest to region sadownictwa: oliwki, jabłonie, czereśnie, uprawy lawendy, mięty, rosną tu platany, cyprysy, które nadają szczególny urok krajobrazowi. Jest to również okręg pasterski. Obserwujemy duże stada baranów oraz liczne namioty nomadów. Jest to obszar dobrze nawodniony, dużo rzek i jezior. Autokar pnie się stale w górę. Zatrzymujemy się na wysokości 1650 m. Mieści się tu ośrodek sportów zimowych - Ifran. Śnieg leży tu od grudnia do marca i zjeżdża się tu liczna rzesza narciarzy z wielu krajów. Miejscowość ta jest nazywana Szwajcarią Maroka. Poza hotelami i pensjonatami mieści się tu również Akademia Królewska dla dziewcząt (ochotniczki). Jest też lotnisko. Naokoło rozciągają się lasy dębowe, w których żyją małpki Maglon. Są one silnie owłosione i dlatego wytrzymują niskie temperatury. W okolicznych górach duże złoża minerałów, kamieni szlachetnych, półszlachetnych, ametysty, srebro (bogate kopalnie ołowiu). Po wyjeździe z gór znów po drodze uprawy: oleandry, agawy, oliwki. W połowie drogi do Marrakeszu jesteśmy na równinie Tadla, która stała się głównym regionem uprawy buraka cukrowego i przemysłu cukrowniczego. W rozwinięciu tej uprawy mieli swój wkład Polacy, którzy przekonali Marokańczyków o jej celowości. Hoduje się też tu warzywa i ziemniaki.

Mamy pół godziny postoju w Benimalal. Kupujemy pomarańcze, winogrona i figi. Dalej jedziemy już przez pustynię. Spotykamy stada wielbłądów, których szara skóra mało odróżnia się od podłoża. Przy drodze tamaryszki, drzewa chlebowe, znów

plantacje oliwek, znów pustynia. Na horyzoncie Atlas Wysoki. Powietrze drga od gorąca i pewnie dlatego niektórzy widzą fatamorganę. Kilometry bez siedzib ludzkich, a jak się już wreszcie ukazują, to jest ich kilka w kolorze ceglasterczonym lub odcieniu gliny. Na tych nawet najuboższych lepiankach sterczą anteny telewizyjne, uznajemy to za fenomen. Po drodze Raszyd, choć leniwy, kontynuuje informacje o Maroku i odpowiada na nasze pytania. Jest to najnowsza historia, oczywiście w wielkim skrócie. Francuski protektorat rozpoczął się w 1912 r. po podpisaniu przez sułtana traktatu, który miał gwarantować gospodarczy rozwój kraju oraz przeprowadzenie reform w szeregu dziedzinach. Francuzi udzielili olbrzymiej pożyczki, a sułtan upoważnił rząd francuski do militarnej okupacji całego obszaru Maroka. Był to już trzeci, po Tunezji i Algierii, kraj, który zajęli Francuzi w tym regionie. Sułtan utrzymywał formalnie swą pozycję, ale między nim a rządem francuskim łącznikiem był rezydent generalny. Traktat był oczywiście wymuszony siłą, co do czego ani sułtan, ani cały naród nie miał wątpliwości. Z tą sytuacją nie wszyscy się zgodzili, a opór mieszkańców Atlasu Saharyjskiego złamano ostatecznie dopiero w 1934 r. Rodził się też ruch oporu, który zwłaszcza po II wojnie światowej przybrał na sile i jako Partia Niepodległości rzucił hasło wyzwolenia.

Do tego ruchu zgłosił swój akces sułtan Mohammed. Spowodowało to jego zdetronizowanie i zesłanie wraz z synem Hasanem na Korsykę, a następnie na Madagaskar. Naród opowiedział się za sułtanem i zaczęły się krwawe zamieszki, które w rezultacie doprowadziły do odwołania Mohammeda z zesłania późną jesienią 1955 r. Traktat w sprawie niezależności Maroka podpisał z Francją 3 marca 1956 r., a w miesiąc później z Hiszpanią.

Po uzyskaniu niepodległości Maroko rozpoczęło na forum międzynarodowym starania o odzyskanie Sahary Zachodniej, przyznanej Hiszpanii przez Francuzów. Obszar ten ze względu na bogactwo fosforytów stał się terenem spornym. Z uwagi na brak rozstrzygnięć w tej sprawie przez Organizację Narodów Zjednoczonych, Organizację Jedności Afrykańskiej i Międzynarodowy Trybunał w Hadze, król zdecydował się na niezwykle, pokojowe posunięcie. Wezwał naród marokański do manifestacji, zwanej zielonym marszem, która rozpoczęła się 5 listopada 1975 r. i zajęła bez wystrzału sporne tereny. Efektem było zrzeczenie się przez Hiszpanię części północnej Sahary na rzecz Maroka. Kłopoty z tym obszarem na tym się nie skończyły, gdyż znaleźli się tacy, którzy nie uznali tej decyzji i rościli pretensje do zajętego terenu. Do dziś toczą się tam walki. Ostatnie doniesienia przynoszą jednak zanik walk, prowadzonych przez „Polisario”, a nawet przechodzenie na stronę Maroka przywódców tego ruchu w

związku ze stwierdzeniem, że są manipulowani przez państwa ich popierające, jak: Algieria, Kuba, Libia i Iran. Maroko prowadzi tam politykę pokojową, buduje osiedla, szkoły (140 szkół dla 10 tys. dzieci) itp. Oczywiście relacja dotycząca zielonego marszu została potraktowana skrótowo, bo było to przedsięwzięcie fascynujące, nieprawdopodobnie sprawne organizacyjnie, trzeba było bowiem przewieźć 350 tys. osób, zapewnić im wyżywienie i to w ciągu jednego miesiąca. Dowiodło to dojrzałości politycznej, sprawności, pomysłowości i energii Marokańczyków oraz akceptacji decyzji i poparcia dla króla Hasana II.

Jeśli idzie o szkolnictwo, to bezpłatne nauczanie wprowadzono w 1963 r. Przed tym było w tym kraju 90% analfabetów. Obowiązkowy język wykładowy, arabski od 1968 r, ale tylko w szkolnictwie podstawowym, w średnim i wyższym w dalszym ciągu wykłada się w języku francuskim, gdyż brak nauczycieli z językiem arabskim na tym poziomie. W szkołach podstawowych pobiera naukę 2 mln młodzieży, w szkolnictwie średnim 700 tys., a studentów jest 87 tys., w tym 15 tys. za granicą. Nauczanie nie jest jednak powszechne, gdyż wszędzie widać dzieci wałęsające się po ulicach i handlujące. Podobno przymus nauczania ma być wprowadzony od 1995 r.

Po informacjach Raszyda, które są ciekawym uzupełnieniem na ogół znanych wiadomości o Maroku, rozglądamy się po okolicy. Zaczynają się bowiem lasy palmowe, niechybny znak, że zbliżamy się do Marrakeszu. Rośnie tu podobno 350 tys. palm, przeważnie królewskich. Po 10 godzinach dobiliśmy wreszcie do celu, w upale ponad 30°. Jesteśmy zmęczeni. Mieszkamy w hotelu „Tachfine”.

Marrakesz został założony w 1062 r. przez dynastię Almorawidów. Do 1269 r. był stolicą Maroka, następnie utracił znaczenie, które odzyskał znów w XVI i XVII w. Spełniał ważną rolę w życiu kulturalnym kraju. Był tu styk cywilizacji Berberów, Arabów i plemion saharyjskich. Marrakesz ma zupełnie inny koloryt niż Casablanca, jest różowy jak słońce przed zachodem. Wszystkie budynki są w tym kolorze. Główną ulicą jest avenue Mohammeda V. Miasto ma 10 bram. Oglądamy garbarnię skór na wolnym powietrzu, straszne warunki, upał, moczenie skór w dużych kadziach, ostry, nieprzyjemny zapach, dlatego przy wejściu otrzymujemy gałązki mięty do wachania, bo trudno oddychać. Jak oni to wytrzymują? Z ulgą wycofujemy się z tego miejsca, współczując tu pracującym.

Medina ma 14 km murów o szerokości 2 m. Posiada system kanalizacyjny. Wjeżdżamy przez bramę Agdal do dzielnicy królewskiej. Przejeżdżamy obok ośrodka rekreacyjnego, Manara, założonego w XVIII w. Są tu ogrody, baseny, restauracje, następnie mijamy najstarszy meczet z XII w. Kutubija z

czasów Almorawidów oraz najwyższy minaret Mahmeda El Mansu o wysokości 165 m. Zwiedzamy natomiast pałac Bahija, wybudowany dla ministra Bactchema z końca XIX w. Podziwiamy piękny dziedziniec z dużą fontanną pośrodku i dwiema mniejszymi. Z przyjemnością siadamy na schodkach biegnącej wokół galerii. Rozkoszujemy się ciszą i urokiem tego miejsca. W pałacu sypialnia ma sufit jak dywan perski, u góry w ścianach witraże, oglądamy też sypialnię haremu. Salon ma również wspaniały sufit, mozaiki z drewna cedrowego. W jednym z pomieszczeń są dekoracje ścian ze złota zmieszanego z jajkami, szafranem i pestkami granatu, efekt jest niespotykany. Dół ścian z ceramiki. W głębi ogrodu, wśród bujnej zieleni znajduje się miejsce zwane Riad (raj), tu Arabowie, czekając na załatwienie przedłożonej sprawy przez ministra odpoczywali i popijali herbatę z miętą. W tym pałacu kręcono wiele filmów, m.in. Ali Babę i 40 rozbójników z Fernandem. Odbywają się tu też występy folklorystyczne.

Wracamy do hotelu. Z okien widać las przepięknych, królewskich palm i dalekie szczyty Atlasu Wysokiego. Spokój zakłócają gnieźdzące się w ulicznych drzewach ptaki, głównie wczesnym rankiem i tuż przed wieczorem.

Następnego dnia wyjazd w ostatni etap podróży po Maroku, z Marrakeszu do Casablanki. Mamy do pokonania 250 km. Przejeżdżamy przez tereny bogate w fosforyty. Trasę przebiega linia kolejowa, którą są one dowożone do Casablanki. Została zelektryfikowana w 1978 r. Fosforyty to największe bogactwo Maroka, od którego zależy wysokość dochodu narodowego. Drugim źródłem dochodu jest turystyka, która co roku wzrasta, nic dziwnego, bo jest to uroczy, egzotyczny kraj. Przez cały czas podróży towarzyszy nam widok gór Atlasu Wysokiego i Średniego. W tym ostatnim rośnie trawa alfa, z której wyplata się koszyki, spotykane masowo na bazarach, w różnych kształtach i kolorach, ale służy też do produkcji papieru.

W Casablance ostatnią noc spędzamy w tym samym hotelu, w którym mieszkaliśmy na początku naszej podróży. Jest jeszcze trochę czasu do kolacji, idziemy więc na spacer znów tym pięknym pasażem, z tym, że teraz jest inny nastrój. Nastąpiła obniżka cen artykułów letnich o 40% i licznie rozstawione stragany oferują naprawdę ładne rzeczy po atrakcyjnych cenach. Wielu uczestników wycieczki robi zakupy, ja zaopatruję się tylko w owoce, pomarańcze, banany i ananasy, które mają tu niepowtarzalny smak.

Szkoda, że przygoda z Marokiem już się kończy. Trwała za krótko i za powierzchownie. Mimo różnych niedociągnięć ze strony organizacyjnej i niewyczerpania programu do końca, było to piękne przeżycie, które chciałoby się powtórzyć.

P-287

